WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 8 18 STYCZNIA 1977 R. CENA 1.50 ZŁ

MELPOMENA W HARCERSKIM MUNDURZE

SZCZECIN (HSI). Każde spotkanie działającego przy Technikum Mechaniczno-Energetycznym Klubu Miłośników Teatru, jednego z licznych w szkole Klubów HSPS, zaczyna się pytaniem prowadzącej klub: „Kiedy mogę spodziewać się recenzji?" Obowiązkiem bowiem każdego członka klubu jest napisanie recenzji z obejrzanego ostatnio spektaklu teatralnego. Najlepsze spośród nich drukowane są w szczecińskich gazetach.

Umiejętność pisania o teatrze i to tak, żeby zostało to wydrukowane wymaga ciągłego kontaktu ze sceną, tekstem dramatycznym i ludźmi teatru. Dlatego też członkowie klubu często podróżują. W Warszawie spotkali się z Adamem Hanuszkiewiczem, Danielem Olbrychskim i Zofią Kucówną, nawiązali kontakt z rektorem PWST Tadeuszem Łomnickim. W Krakowie – przyjął ich dyrektor Teatru Starego, Paweł Gawlik.

(ws)

OBY POGODA DOPISAŁA

W pogoni za „Złotym Krążkiem"

Zima, tradycyjnym już zwyczajem, płata nam figle. Większość z trudem przygotowanych jesienią lodowisk przypomina raczej grzązkie sadzawki. Ale wszędzie tam, gdzie pozwalają na to warunki rozpoczęły się boje o tytuł najlepszych w „Złotym Krążku" „Świata Młodych". Po rozgrywkach wewnątrzszkolnych i eliminacjach miejskich oraz gminnych odbędą się mistrzostwa rejonowe. Ich zwycięzcy spotkają się, pod koniec zimy, na zawodach wojewódzkich. Oby tylko dopisała pogoda, czego życzymy wszystkim łyżwiarzom.

Aktualnym posiadaczem pucharu naszej redakcji są reprezentanci SP-2 w Giżycku. Wywalczyli go podczas ostatnich igrzysk młodzieży szkolnej. Ciekawi jesteśmy, jak sportowcy tej szkoły radzą sobie w obecnym sezonie. Czekamy także na wiadomości od innych, uczestniczących w „Złotym Krążku", zespołów. A może zostaniemy zaproszeni na ich zawody? **(zp)**

Fot. **J. Dąbrowski**

LEŚNI KASKADERZY

BIELSKO-BIAŁA (PAP). W okresie zimowym na stokach Starego Gronia w Istebnej, gdzie rosną najdorodniejsze beskidzkie świerki, odbywają się leśne żniwa. Leśni kaskaderzy przy pomocy liny skaczą z wierzchołka na wierzchołek drzew, zbierając świerkowe szyszki. Wymagającym odwagi zajęciem parają się od lat rodziny Legierskich, Drobiszów i Kawuloków. Odważni „żniwiarze" w ciągu ośmiu godzin pracy zbierają około 50 kilogramów szyszek. (mh)

NOWE ZAINTERESOWANIA SŁYNNEGO ASTRONAUTY

STANY ZJEDNOCZONE (PAP). Były astronauta amerykański, Neil Armstrong, jest obecnie profesorem na Uniwersytecie w Cincinnati. Wraz z trzema współpracownikami skonstruował on przenośne „sztuczne płuco", niezwykle przydatne przy leczeniu i operacjach organizmu ludzkiego. Przy konstruowaniu aparatu Armstrong – pierwszy człowiek, który stanął na powierzchni Księżyca – wykorzystał swe doświadczenia uzyskane podczas projektowania aparatury dla statków kosmicznych. „Sztuczne płuco" może być bez większych trudności przenoszone w niewielkiej torbie. **(mh)**

OŚMIOLETNIA ARTYSTKA

ZSRR (CAF–TASS). Na jesiennej wystawie rysunków dziecięcych w Muzeum Sztuki Dziecięcej w Tbilisi największą furorę zrobiły rysunki 8-letniej Ani Mgołobliszwili. Nie jest to pierwsza ekspozycja prac niezwykle utalentowanej dziewczynki. Za swe rysunki przygotowane z okazji Dnia Kobiet otrzymała specjalny dyplom. Rysunki jej były również wystawiane za granicą – w Szwecji, Czechosłowacji i Rumunii. Na zdjęciu: Ania Mgołobliszwili przy pracy. **(dr)**

TAJEMNICZE PODZIEMIA – turystyczną trasą

KŁODZKO (PAP). Zakończono wieloletnie prace badawcze podziemnych korytarzy i sal znajdujących się pod Kłodzkiem. Zabezpieczona trasa długości 460 metrów, która otrzymała imię „Tysiąclecia Państwa Polskiego" niedawno otwarta została dla turystów. W ten sposób ziemia kłodzka otrzymała atrakcję przyciągającą turystów z kraju i zagranicy. (mh)

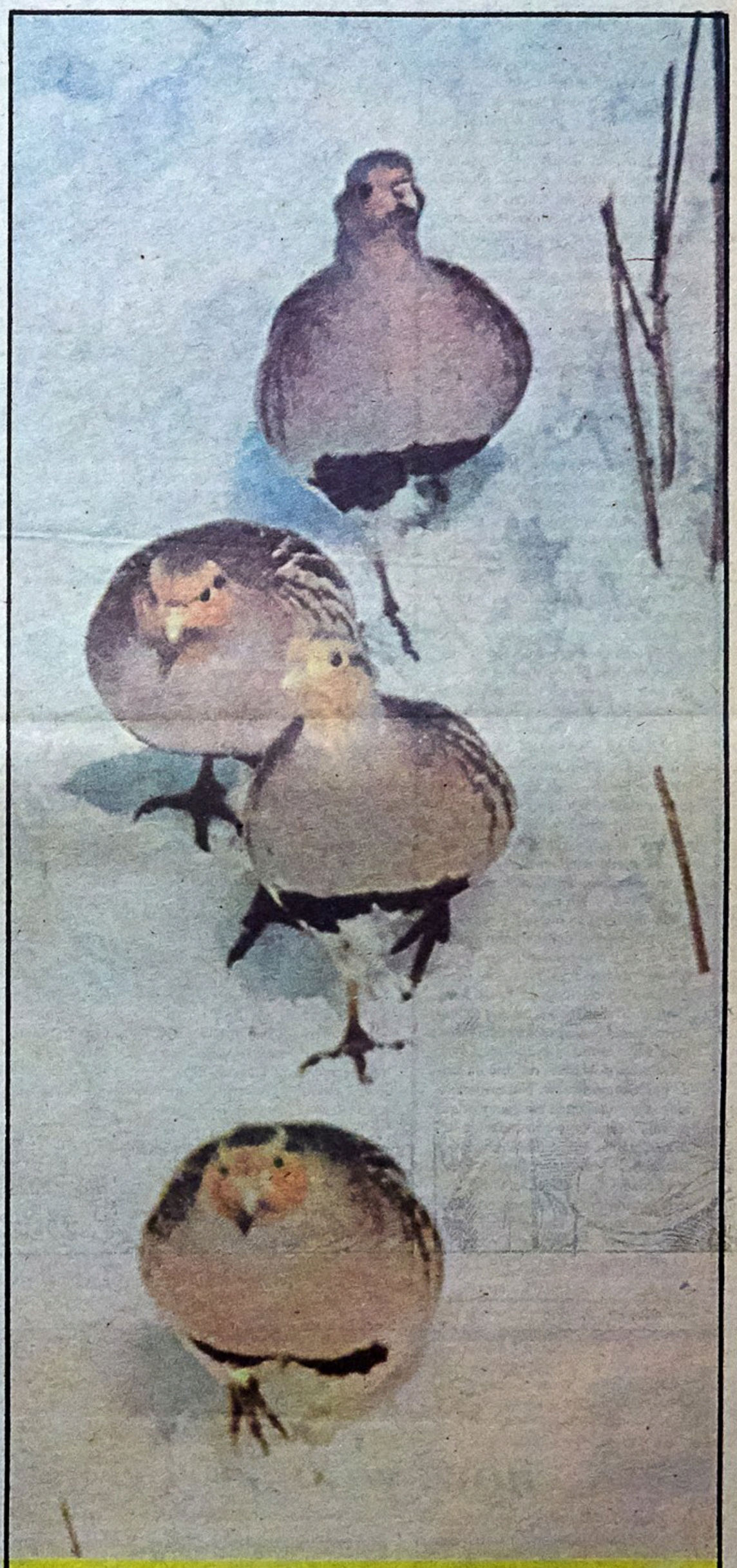

Mrozy i śniegi dają się we znaki skrzydlatym i czworonożnym przyjaciołom. Trudno przebić lodową skorupę na śniegu, by wydobyć spod niej pożywienie. Pamiętajmy więc o dokarmianiu zwierząt i ptactwa. Warto porozmawiać z leśniczym, dowiecie się odeń jak pomóc zwierzynie, która mieszka w waszym lesie. A może cierpi wasz przyjaciel Azor? Sprawdźcie, czy jego buda jest ciepła, a jej mieszkaniec dostaje odpowiednią ilość pożywienia. W zimowe chłody należy mu się dodatkowy kąsek. (mat)

Fot. archiwum

Dziś przedstawiamy:

Pierwszy radziecki aerobus

Pod koniec ub. roku z lotniska centralnego w Moskwie wystartował w pierwszy doświadczalny lot „IŁ-86". Jest to największy samolot pasażerski w lotnictwie radzieckim, mogący zabrać jednorazowo aż 350 pasażerów. O zaletach tego powietrznego kolosa mówi jego główny konstruktor – G. Nowożyłow:

„IŁ-86" należy do klasy tzw. aerobusów i to nie ze względu na wielkość i liczbę miejsc, ale przede wszystkim możliwość zastosowania podobnego systemu przewozu pasażerów i ładunków, jak w komunikacji naziemnej. Samolot ma dwa pokłady. Na dolny pasażerowie wchodzą wraz z bagażem. Znajdują się tam zamykane schowki podobnie jak na dworcach autobusowych czy kolejowych. W schowkach tych pasażerowie zostawiają swój bagaż, po czym wewnętrznymi schodami przechodzą na pokład górny, do trzech salonów.

Ten system wprowadzono już kilka lat temu na niektórych liniach lotniczych na Zachodzie. Nawet największe porty nie mogły sobie bowiem poradzić z terminową odprawą pasażerów, a przede wszystkim ich bagażu. W natłoku i pośpiechu coraz częściej zdarzały się pomyłki w rodzaju: bagaż lecial do Rzymu, a jego właściciel do Nowego Jorku. Aerobus wszystkie te „niedokładności" skutecznie eliminuje. Radzieckie linie „Aeroflot" również osiągnęły szczyt możliwości obsługi pasażerów w starym systemie. Np. w okresie sezonu lotnisko w Soczi na Kaukazie przyjmuje aż 400 samolotów na dobę.

A oto kilka porównań, które dają wyobrażenie o wielkości radzieckiego aerobusu. Szerokość jego kadłuba jest o pół metra większa od średnicy tunelu moskiewskiego metra, a długość kabiny pasażerskiej pomieściłaby trzy wagony podziemnej kolei. Cztery silniki wielkiej mocy umożliwiają osiąganie szybkości w granicach 900–950 km/godz. Zasięg lotu „IŁa-86" wynosi powyżej 5 tys. km.

W pierwszym locie samolot pilotował jeden z najpopularniejszych lotników doświadczalnych, bohater Związku Radzieckiego, Edward Kuzniecow. Stwierdził on, że jest to maszyna o znakomitej sprawności nawigacyjnej. Mimo swych potężnych rozmiarów dokładnie reaguje na każde poruszenie sterów. Najnowocześniejsze wyposażenie nawigacyjne zapewnia bezpieczne prowadzenie aerobusu nawet w najtrudniejszych warunkach atmosferycznych. Jak stwierdzają specjaliści, „IŁ-86" będzie samolotem najbliższej przyszłości w radzieckiej komunikacji lotniczej. A może zobaczymy go również na szlakach polskiego „Lotu"? (b)

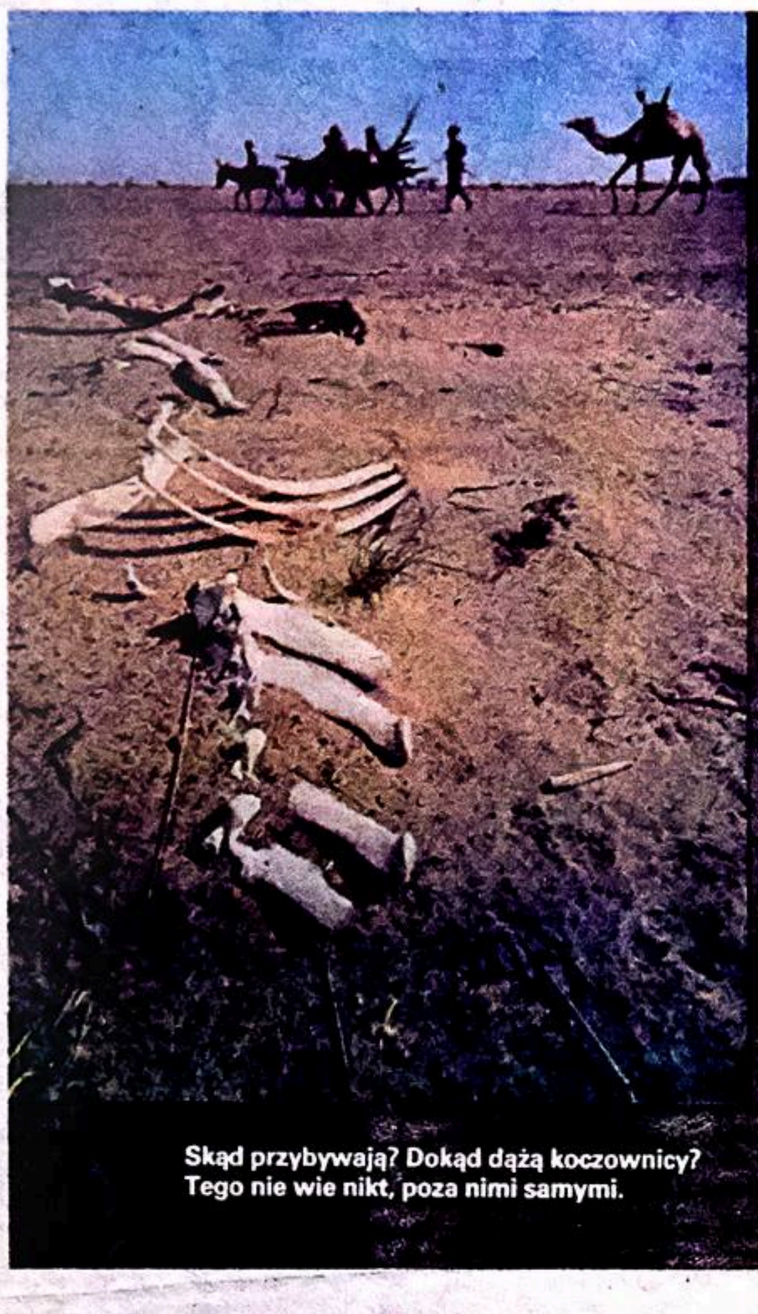

BOGATEMU PIENIĄDZE NIEPOTRZEBNE

Skąd przybywają? Dokąd dążą koczownicy? Tego nie wie nikt, poza nimi samymi.

Z głośnika umocowanego wysoko na słupie górującym nad sukiem, płynie nieustannie jękliwa arabska muzyka, stanowiąca jakby podkład dźwiękowy dla gwaru tłumu, nawoływania przekupniów i okrzyków tragarzy, którzy z ogromnymi ładunkami na plecach, z trudem, ale zręcznie, przepychają się przez ciżbę. Wszystko to cichnie i zatrzymuje się w ruchu tylko wtedy, gdy z głośników skierowanych na cztery strony świata, hen wysoko na strzelistym minarecie, rozlega się zawodzący głos wzywającego do modlitwy muezina. Tak jest pięć razy dziennie, tyle razy bowiem prawowierny muzułmanin powinien modlić się do Allacha.

Dahiyar el Medina – centrum Port Sudanu. Dokoła biel murów wypalonego słońcem miasta i czerń twarzy pod białymi zawojami. Z tym tłem ostro kontrastują purpurowe i fioletowe stroje kilku kobiet z jakiegoś koczowniczego szczepu. Na placyku sąsiadującym z targowiskiem, służącym za parking taksówkom i samochodom ciężarowym, kilkanaście pokrytych pustynnym kurzem wielbłądów. Pilnuje ich człowiek w długiej białej dżelabij, uzbrojony w potężny miecz i karabin. Skąd przybyła ta karawana? Dokąd uda się po opuszczeniu miasta? Tego nie wie nikt poza samymi koczownikami, którzy, można się tylko tego domyślać, przybyli do Port Sudanu po zakupy. Zresztą bez pieniędzy, bo znają tylko handel wymienny. Za skóry upolowanych zwierząt, hodowanych wielbłądów, chcą otrzymać materiały na ubrania, sól, ozdoby, garnki itp. Wszystko to, co jest potrzebne do życia w pustyni i sawannie, a czego nie można tam znaleźć, zrobić, upolować. Przy jednej z bocznych uliczek, równoległej do ulicy krawców, a przecinającej ulicę szewców, w cieniu pod arkadami mała kawiarnia z kilkoma stolikami we wnętrzu i na chodniku. Przez cały dzień rozbrzmiewa tu z radia ta sama muzyka co z głośnika nad sukiem, a na jej tle słychać stuk rzucanych kości i głośny trzask przestawianych kamieni. Wszystkie miejsca są zajęte, a na każdym stoliku leży drewniane pudło, nad którym pochylają się grający. I oczywiście tak jak wszędzie, gdzie sięga Islam, w kawiarni są sami mężczyźni.

A gdzie w Sudanie sięga Islam? Gdzie przebiega granica dzieląca ten kraj na dwa różne światy, biały – arabski i czarny – murzyński? Czy Arab jest rzeczywiście biały, a Murzyn czarny? W średniowieczu arabscy geografowie nazwali kraj leżący na południe od Egiptu – Balad es-Sudan, czyli Kraj Czarnych. Później jednak ci sami Arabowie, w drodze podbojów, postarali się, aby niecały był on czarny. Zresztą nie tylko oni... Przez wieki na ogromnym terytorium Sudanu, większego ośmiokrotnie od Polski, odbywało się w drodze podbojów i wędrówek „przepychanie" rozmaitych ras i szczepów. Od północy najeżdżali go już w starożytności Egipcjanie, później Nubijczycy, Grecy, Arabowie, a w XIX wieku Turcy. Po nich przyszli Anglicy, którzy skolonizowali ten kraj i odeszli stąd dopiero w latach pięćdziesiątych naszego wieku. Dziś dzieli się Sudan na Północny – zamieszkały przez około 11 milionów ludzi wyznających Islam i posługujących się językiem arabskim, ale stanowiących ogromną mieszankę ras i szczepów, oraz Południowy, zamieszkały od niepamiętnych czasów przez czarne plemiona nilockie, w dużej jeszcze części pogańskie. Tylko że wśród „czarnych" plemion są takie, których zabarwienie skóry jest koloru mlecznej czekolady, a wśród „białych" – arabskich – można znaleźć ludzi tak czarnych, że aż fioletowych. Witold Skuratowicz w książce pt. „Sudan" pisze tak: ***„Ciekawym przykładem mieszaniny rasowej w Sudanie jest szczep Madżarab z okolic Wadi Halfa (na granicy z Egiptem – przyp. aut.). Powstał on w połowie XIX wieku przez zmieszanie z ludnością miejscową żołnierzy węgierskich, przybyłych tu z wojskami egipskimi. Współcześni ich potomkowie są czarni".***

Po dokonaniu pierwszego w historii kraju spisu ludności w 1956 r. (przeprowadzonego przez Polaka dr. Karola Krótkiego, zajmującego wtedy w Sudanie stanowisko wicedyrektora departamentu statystyki) okazało się, że tylko około 30 proc. ludności można uważać za Arabów czystej krwi.

Uważa się, że granica między Północnym a Południowym Sudanem przebiega mniej więcej wzdłuż 12° szerokości północnej. Południe różni się od reszty kraju nie tylko pod względem antropologicznym, ale i geograficznym. Północ to pustynie i sawanny (zieleń jest tu tylko nad Nilem, największą rzeką Sudanu), Południe – tropikalne lasy i urodzajna ziemia. Na sięgającą wieki wstecz wrogość ludów z Południa do ludzi z Północy złożyło się wiele przyczyn. Najważniejsze z nich to pamięć dawnych napaści arabskich i porywania niewolników oraz odizolowanie południowej części kraju przez angielskich kolonizatorów. Do ludów żyjących w lasach z wielkimi oporami przenikała cywilizacja, a plemiona murzyńskie do dziś zachowały pierwotne obyczaje, wierzenia i języki.

W 1955 roku, gdy niepodległość Sudanu była już zdecydowana, „czarne" Południe zbuntowało się przeciw dominacji „białej" arabskiej Północy. Wewnętrzna wojna trawiła kraj aż do roku 1972, kiedy to w Etiopii – na neutralnym gruncie – zawarto porozumienie pokojowe, w którym rząd centralny zagwarantował Południu równe prawa oraz zgodził się na powołanie autonomicznego rządu południowosudańskiego. Byli powstańcy zostali wcieleni do regularnej armii (ale nie włączonej do północnej) i służą pod dowództwem dawnego przywódcy powstania, a dziś generała – Josepha Lagu. Układ ten jest w zasadzie przez gen. Nimejri, prezydenta kraju, dotrzymywany. Południe otrzymuje spore dotacje finansowe, są jednak trudności z ich właściwym wydatkowaniem. Brak jest wykwalifikowanych kadr, a każdy człowiek z Północy jest jednak dalej traktowany podejrzliwie. Budżet Południa opiera się na podatkach, ale np. rok temu zebrano ich ledwie 60 procent. Przyczyna? Brak dróg powodujący niemożność dotarcia do podatników, którymi głównie są hodowcy bydła. A oni sami wcale nie mają chęci sprzedawać zwierząt za pieniądze. Bogatemu pieniądze niepotrzebne – powiadają. I na swój sposób mają rację, ponieważ od wieków o bogactwie człowieka decydowała tu ilość posiadanego przez niego bydła, a nie jakieś tam krążki, choćby i złote, czy papierki. Inny kłopot Południa to połączenia komunikacyjne z Północą, bez których trudno o prawidłową realizację inwestycji i w ogóle rozwój tej części kraju. Z Port Sudanu – jedynego portu z prawdziwego zdarzenia na całym wybrzeżu czerwonomorskim Sudanu – przewiezienie ładunku do Dżuby – stolicy Południa trwa cztery miesiące w porze suchej. W deszczowej ruch zamiera. Samolot z Chartumu – stolicy Sudanu, do Dżuby leci tylko godzinę i czterdzieści minut, ale transport większych ładunków może odbywać się tylko Nilem i najkrócej trwa dwa tygodnie. W całym Sudanie jest zaledwie 400 km dróg asfaltowych i 5 tys. kilometrów linii kolejowych z taborem liczącym lat kilkadziesiąt.

Obecnie na Południu znów zawrzało i to bardzo niebezpiecznie. Tym razem jednak idzie o narastający konflikt między Sudanem a Etiopią. Na liczącej 1600 km granicy Sudan koncentruje swe wojska. Odwołano ambasadorów. Obydwa rządy oskarżają się wzajemnie (zaczął spór Sudan) o popieranie swych wewnętrznych przeciwników. Ten stan rzeczy grożący nawet konfliktem zbrojnym, nie przyczynia się na pewno do rozwoju gospodarki tych dwóch państw zaliczanych do posiadających wielkie możliwości, ale ciągle jeszcze jednych z najbiedniejszych.

Przypadek sprawił, że przed laty zdarzyło mi się przebywać w Sudanie w czasie dwóch przewrotów: gdy obalano dyktaturę gen. Abbuda, a następnie, gdy władzę przejmował gen. Nimejri. O losach kraju decydowała wtedy siła, czyli armia. Obecnie, choć w innym już zupełnie sensie, dochodzi do podobnej sytuacji – niesłychanie groźnej dla rewolucji etiopskiej, ale także i dla samego Sudanu, którego prezydent zagroził Etiopii stworzeniem 100-tysięcznej armii złożonej z secesjonistów erytrejskich dążących do oderwania tej prowincji od Etiopii i feudałów etiopskich, którzy schronili się w Sudanie w obawie przed rewolucją. Zły czas nastał nad Morzem Czerwonym w Afryce.

JERZY KOWALKOWSKI
Fot: **archiwum**

Stare wzory, nowi wykonawcy

W południowo-wschodniej części Afryki, w dorzeczu rzek Limpopo i Zambezi leży Ludowa Republika Mozambiku. Kraj przeszło dwukrotnie większy od Polski (783 tys. km kw), zamieszkały przez prawie 9 mln mieszkańców. Do niedawna o Mozambiku niewiele się pisało i mówiło. Przez wiele wieków był on kolonią portugalską. Dopiero od połowy lat sześćdziesiątych coraz częściej dochodziły do Europy wiadomości o nasilaniu się walki wyzwoleńczej prowadzonej pod przewodnictwem FRELIMO – Frontu Wyzwolenia Mozambiku. Walka ta po latach zakończyła się sukcesem – 25 czerwca 1975 r. Mozambik otrzymał niepodległość. Na czele kraju stanął prezydent, Samora Machel, jednocześnie zmieniono nazwę stolicy z Lourenco Marques na Maputo.

Ale nie wszystkie kłopoty skończyły się z chwilą odzyskania niepodległości. Zaniedbany przez kolonizatorów kraj przeżywa dziś spore kłopoty gospodarcze. Poważnie spadła produkcja przemysłowa i rolna, szczególnie cukru, sizalu, herbaty, bawełny i orzeszków ziemnych. Tych pięć produktów stanowiło 60 proc. wartości eksportu Mozambiku. Kraj odczuwa również palący brak specjalistów wszystkich dziedzin.

Na trudności ekonomiczne nakłada się również poważna sytuacja polityczna kraju. Wynika ona głównie z położenia geograficznego Mozambiku. Wystarczy spojrzeć na mapę, a wszysto staje się jasne. Od południa i zachodu graniczy on z dwoma rasistowskimi państwami – Republiką Południowej Afryki i Rodezją. Obydwa te kraje posiadają silne, nowocześnie uzbrojone armie. Powstanie pod nosem RPA Rodezji ludowego państwa z oczywistych względów nie jest im na rękę. Stanowi niebezpieczny przykład dla własnej ludności czarnej, która jest przecież w większości i również występuje zbrojnie przeciw białym rasistom.

Z tych powodów coraz częściej nasilają się przeciw Mozambikowi zbrojne prowokacje, szczególnie ze strony Rodezji. Niemal każdego tygodnia zapuszczają się na terytorium LRM oddziały rasistowskie, niszcząc bazy FRELIMO i partyzantów Zimbabwe. Niestety, Mozambik nie jest w stanie sam się obronić przed tą jawną agresją. Wojska FRELIMO do dnia dzisiejszego nie zostały przekształcone w regularną armię, nie dysponują ciężkim uzbrojeniem, ani odpowiednią łącznością, a także nie znają nowoczesnej organizacji walki. Ale ten stan rzeczy ma się wkrótce zmienić. 3 lutego br. odbędzie się w Maputo zjazd FRELIMO, na którym organizacja ta ma być przekształcona w rządzącą partię polityczną. Jednocześnie powstać mają regularne oddziały wojskowe.

Zamierzenia te nie są na rękę reżimom rasistowskim w RPA i Rodezji. Rozpoczęły one kampanię propagandową mającą na celu stworzenie klimatu, który usprawiedliwiałby przygotowywaną agresję przeciw Mozambikowi. W oszczerstwach tych pisze się, że w Mozambiku znajduje się 5 tys. Kubańczyków, jako rzekomych robotników plantacji cukrowych oraz wojska tanzanijskie, które przygotowują się do napaści na RPA i Rodezję. W związku z tym rząd LRM zmuszony był ogłosić oficjalne oświadczenie, w którym czytamy m. in.: „Celem tej kampanii jest powstrzymanie procesu rewolucyjnego a także utrudnienie nam tworzenia armii, abyśmy nie mogli bronić naszej suwerenności. Ponadto, kampania ta związana jest z pewnymi faktami, o których dzisiaj już wiemy. Wiemy, że odbywa się koncentracja oddziałów rasistowskich na naszej granicy. Posiadamy informacje, że sąsiedni kraj rządzony przez rasistów, przygotowuje oddział najemników, który zostanie przerzucony na nasze terytorium. Następnie najemnicy ci przebrani w mundury FRELIMO, przeprowadzą pozorowany atak przeciw Republice Południowej Afryki. Do takiej samej prowokacji uciekł się Adolf Hitler, aby usprawiedliwić swój atak na Polskę w 1939 roku. Teraz chce się powtórzyć te prowokacje, aby usprawiedliwić atak na nasz kraj".

Oto jakie stare wzory hitlerowskie znowu ożyły w umysłach białych rasistów. Tylko kto im uwierzy?

STANISŁAW BOROWIECKI

Klub Przyjaciół m/s „LEONID TELIGA"

Życzenia noworoczne dla Redakcji i Czytelników przesyła z oceanu załoga statku m/s „LEONID TELIGA"

Statek „LEONID TELIGA", nad którym nasza redakcja wraz z czytelnikami sprawuje patronat, tuż przed świętami udał się do portów Afryki Zachodniej. Jest to już trzeci – kolejny rejs naszego statku. Tym razem jego portem docelowym jest Lagos w Nigerii.

W drodze powrotnej „LEONID TELIGA" zabierze ładunek kakao i egzotycznego drewna.

Tuż przed wyjściem jednostki w morze „Świat Młodych" odwiedził załogę. Złożyliśmy świąteczne i noworoczne życzenia i wręczyliśmy upominek od czytelników – stanowi go trzydzieści najlepszych rysunków z konkursu pt. „Rysunek dla Teligi", który zorganizowaliśmy w 1968 roku. Przypominamy, że wystawa najlepszych prac odbyła się w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, a otwierał ją sam Leonid Teliga po powrocie z rejsu dookoła świata.

W chwili, kiedy czytacie ten numer gazety, m/s „LEONID TELIGA" znajduje się w porcie Abidżan, gdzie załadowuje drewno. Niżej drukujemy list Agnieszki Waśkiewicz ze Szczecina, która napisała już do nas po raz drugi. Postanowiliśmy przyjąć Agnieszkę do Klubu Przyjaciół m/s „LEONID TELIGA" – licząc na jej dalsze korespondencje.

WYGLĄDAJĄ JAK ZAPAŁKI...

Proszę spojrzeć na to zdjęcie. Przedstawia ono załadunek drewna egzotycznego w Abidżanie, gdzie ostatnio ładuje „TELIGA". Z lotu ptaka drewno wygląda jak zapałki, ale w rzeczywistości są to kłody mające i po półtora metra przekroju i kilka, a nawet kilkanaście metrów długości. Mniejsze z nich ważą około tony, a większe po dwadzieścia do trzydziestu ton.

Złożone z kilkudziesięciu kłód tratwy są podciągane przez małe holowniki do statków zakotwiczonych na lagunie.

Czarnoskórzy robotnicy przeskakując po unoszących się na wodzie pniach wybierają odpowiednie długością, wielkością i ciężarem kłody, zakładają na nie stalowe liny, po czym przeładunkowe urządzenie statku unosi je w górę i umieszcza w ładowni, gdzie inny zespół robotników układa je pod okiem pierwszego oficera pokładowego tak, by zajęły jak najmniej miejsca.

Marynarze i pasażerowie statków ładujących drewno podziwiają zwinność i spryt robotników; zdumiewają się, gdy któryś z nich, wykorzystując przerwę w pracy kładzie się na unoszącym się na wodzie pniu i... zasypia. Praca ta nie jest jednak bezpieczna i zdarzają się tu nieszczęśliwe wypadki.

„LEONID TELIGA" w taki sposób ładował w San Pedro i Abidżanie, portach kraju, z którego Polska importuje najwięcej drewna egzotycznego.

AGNIESZKA WAŚKIEWICZ,

CERAMIKA bolesławiecka

Bolesławiec Śląski, miasteczko słynne z pięknej ceramiki, leży w województwie jeleniogórskim, nad rzeką Bóbr. Liczy 36 tysięcy mieszkańców. Tradycja wiąże jego nazwę z imieniem Bolesława Chrobrego. W połowie XIII w., kiedy z rąk księcia Bolesława Rogatki otrzymał prawa miejskie, istniała tu już spora osada obok kasztelanii przygranicznej sięgającej początków państwa Piastów. Położony na szlaku tranzytowym znad Morza Czarnego przez Lwów, Kraków, Wrocław – i dalej przez Lipsk do Niderlandów, Bolesławiec już w czasach średniowiecznych umiał wyzyskać swoją handlową szansę. Od XV w. zaś dodatkowym źródłem dobrobytu mieszkańców stało się rzemiosło: tkactwo, piwowarstwo i garncarstwo.

Ceramika bolesławiecka stała się znana w Europie już w XVIII w. Wtedy to z prowincjonalnego ośrodka zaopatrującego w naczynia ceramiczne najbliższą okolicę, stał się Bolesławiec eksporterem swoich wyrobów do krajów ościennych: Czech, Polski, Saksonii, Prus, a nawet Rosji.

Ceramika artystyczna z Bolesławca zdobyła sobie zarówno w kraju jak i za granicą wysoką ocenę dzięki jakości wyrobów, jak i walorom estetycznym. Ważną rolę odgrywa tu także niepowtarzalny ich charakter: zdobione są ręcznie. Obok dekoracji barwnymi szkliwami stosuje się podszkliwną dekorację stempelkową oraz malatury. Na różnorodność zdobnictwa składa się także rowkowanie naczyń.

Spośród ceramiki wytwarzanej w naszym kraju, wyroby bolesławieckie są obok znanych fajansów włocławskich cenione najbardziej.

Na zdjęciu: młoda malarka z Bolesławca, Irena Niziołek, zdobi piękne wazony.

Tekst i fot. **JERZY JAWORSKI**

Przyrząd okazał się zdumiewająco prosty. Ot, kilkunastodekowy ciężarek umieszczony na czarnej, związanej w obrączkę sznurówce. Poczułem się zawiedziony. Czy taki „talizman" może służyć do czegokolwiek? Z niedowierzaniem uchwyciłem koniuszek sznurowadła. Bez rezultatu. Wtedy różdżkarz na mojej ręce położył swoją. Osobliwe wahadło drgnęło i rozkołysało się rytmicznie. Odniosłem wrażenie, jakby z tą chwilą przestało być bezdusznym, martwym przedmiotem.

CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA

Wbrew mym oczekiwaniom Karol Tomala, emerytowany inspektor górnictwa kopalni „Rymer" w Rybniku – nie ma w sobie nic z prestidigitatora. Starszy pan wyjmuje z płaskiej teczki kilka drobiazgów przydatnych w tej specyficznej działalności. Skąd te zainteresowania?

– Jak w życiu – powiada – czysty przypadek. W 1936 roku wybrałem się na wakacje do Wisły Małej. Tam u znajomych natrafiłem na grubą księgę o wahadłach i różdżkach. Nad rzeką, z kolegą, tak sobie – dla zabawy, wycięliśmy wiklinowe pręty. Próbujemy sił i szczęścia. Za każdym razem, gdy tylko zbliżę się w stronę rzeki, rózga, którą trzymam gwałtownie się wygina, a u kolegi nic, nawet najmniejszej reakcji. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że podświadomie wyczuwam promieniowanie.

– Podobne uzdolnienia – kontynuuje pan Tomala – nazywa się radioestezją. Jest to zdolność wyczuwania, czy też dokładniej mówiąc – „dostrzegania", ukrytym zmysłem promieniowania wysyłanego przez żyły wodne i złoża mineralne. Nie wszyscy, oczywiście, ją posiadają. Badania wykazały, że na 75 osób tylko 25 posiada te cechy. Wyczuwają fale na zasadzie trochę zbliżonej do odbiornika radiowego, przy czym różdżka spełnia rolę anteny wzmacniającej bodźce.

O CZYM WIEDZĄ KOTY

Kilka lat temu Karol Tomala spędzał urlop w Zakopanem. Spotkał tam starego znajomego, który przez cały pobyt wychwalał zalety górskiego powietrza. Świetnie spał, czuł się świeży i wypoczęty. A w krakowskim mieszkaniu trapiła go ciągła bezsenność, bóle głowy i zmęczenie.

– Przy pomocy różdżki sprawdziłem oba miejsca – mówi pan Tomala. – W zakopiańskiej kwaterze nie wykryłem najmniejszych śladów emisji. Natomiast w pokoju w Krakowie w miejscu, gdzie stał tapczan – promieniowanie było tak silne, że różdżka, której użyłem, omal nie uległa złamaniu. Najprawdopodobniej pod domem krzyżowały się dwie lub więcej żyły wodne. Doradziłem mu zamianę mieszkania. Zrobił to i bezsenność, zmęczenie jak ręką odjął...

Ma również pan Tomala na swym koncie także poważniejsze osiągnięcia „różdżkarskie". Podczas poszukiwań przeprowadzonych w Czechosłowacji, wbrew sceptycyzmowi geologów, umiejscowił w Darkowie k/Karwiny z wystarczającą dokładnością bogate źródła lecznicze wody jodowo-bromowej.

Zbiorniki wody gruntowej wysyłają bowiem silne promieniowanie, które odczuwamy w różnorodny sposób, często nie zdając sobie z tego sprawy. W przeciwieństwie do ludzi, wszystkie zwierzęta posiadają zdolność recepcji promieni. Często można zaobserwować, jak nasi czworonożni przyjaciele wybierają legowisko, wydawałoby się, w najmniej odpowiednim miejscu. Mają jednak w tym swoje racje, kierując się ukrytym zmysłem.

NIEZAWODNE WAHADŁO

SZÓSTY ZMYSŁ?

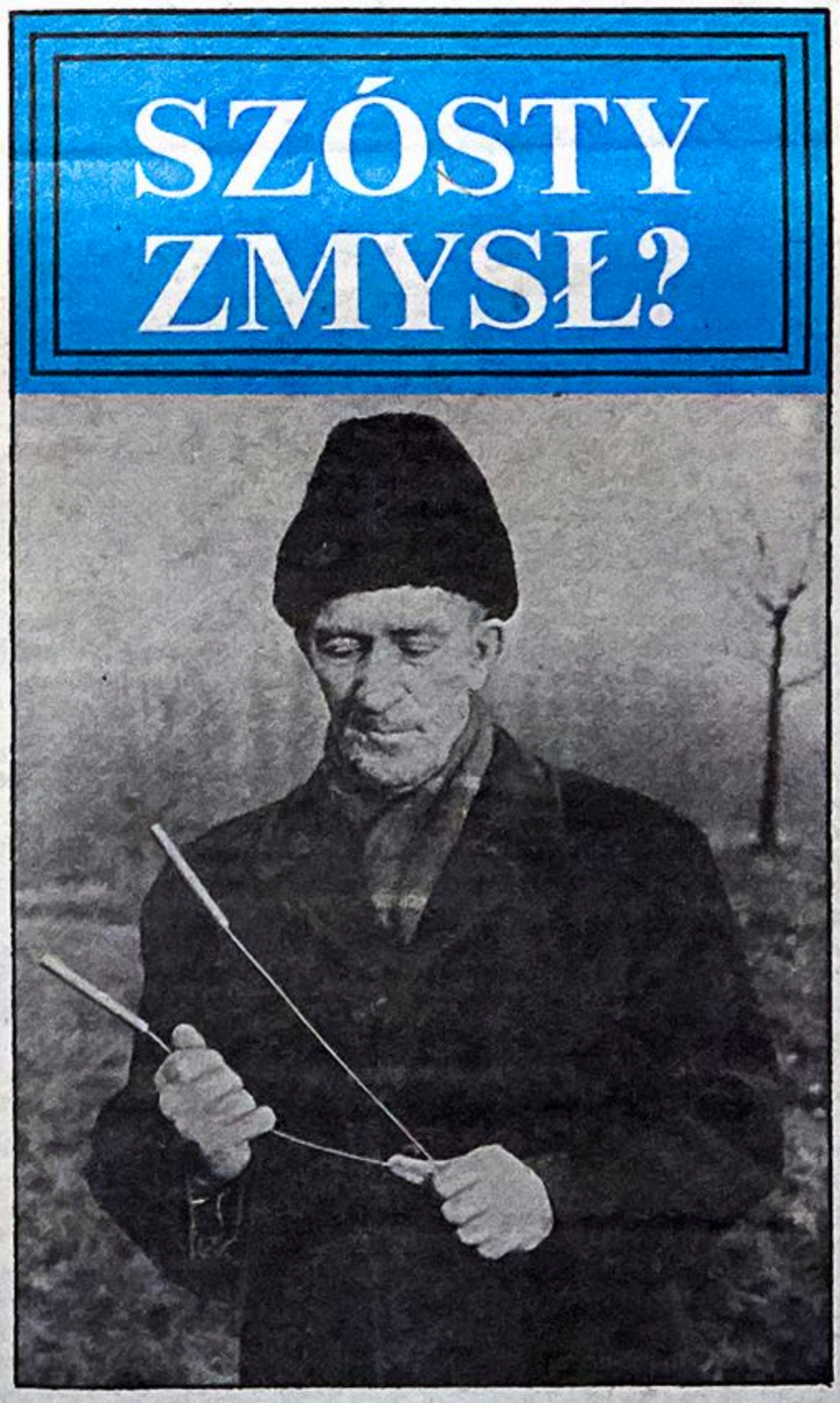

Karol Tomala demonstruje „tajemniczy" przyrząd do poszukiwań geologicznych.

Jest też inny niezmiernie frapujący sposób poszukiwań, szczególnie złóż mineralnych, polegający na użyciu wahadła. Metodę tę, budzącą niekiedy pewne wątpliwości, znano jeszcze w starożytności i po dziś dzień cieszy się ona powszechnym uznaniem w Iranie i na Bliskim Wschodzie. Ze sposobu i ilości wychyleń znawcy potrafią odczytywać nie tylko miejsce zalegania, ale także wielkość złoża.

Dokładnie przed rokiem niektóre gazety podały wiadomość o odkryciu przez dwóch Polaków bogatych złóż siarki w Iranie. Tymi niezwykłymi geologami na odległość byli: Zbigniew Zbiegeni z Krakowa oraz Karol Tomala. Każdy z nich oglądał w swym mieszkaniu program telewizyjny o poszukiwaniu złóż siarki w Iranie. Niby w telepatycznym transie sięgnęli po atlasy próbując odszyfrować zagadkę z odległości kilku tysięcy kilometrów. W tym samym dniu wysłali listy do ambasady cesarstwa proponując pomoc. Wkrótce nadeszły dokładne mapy. Umiejscowili na nich, wspólnie 11 pokładów, z których 3 zostały dotychczas potwierdzone przez geologów.

Ludziom, którzy posiadają tak olbrzymią wrażliwość udaje się podobno określić miejsce pobytu człowieka na podstawie fotografii, odszyfrować złoża oglądając mapę, określać wiek starych przedmiotów. Tym, którzy podchodzą do wszelkich fenomenów przyrody w sposób racjonalny, trąci to niewątpliwie okultyzmem, ale fakty swoją drogą muszą skłaniać do refleksji. Należy mieć nadzieję, że nauka jak w każdym przypadku i tym razem wyjaśni zagadkę.

Przy końcu naszego spotkania przeprowadzam mały test. Wyjmuję starą armeńską amforę, określoną przez archeologów na VI wiek. Wahadło pana Karola wiruje coraz szybciej nad brzegami. Liczymy: 500 lat, 600 lat i dalej. Przy 1500 roku – czyli tyle, ile liczy sobie amfora – wahadło bezwładnie się zatrzymuje. Przypadek?

ANDRZEJ PLUTOWSKI
Fot. **M. Żbikowski**

Ciekawe harcerskie inicjatywy

LICZĄ na MAN

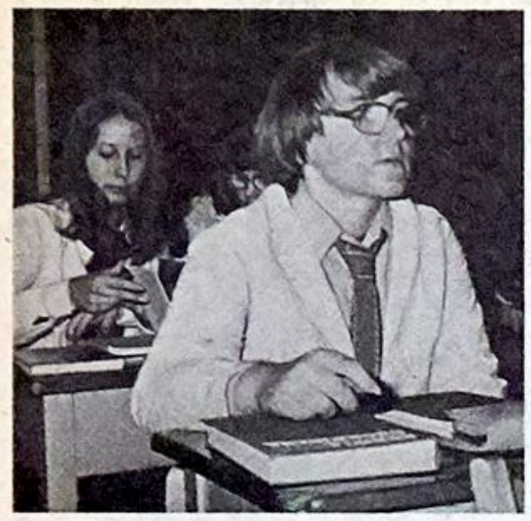

Genia

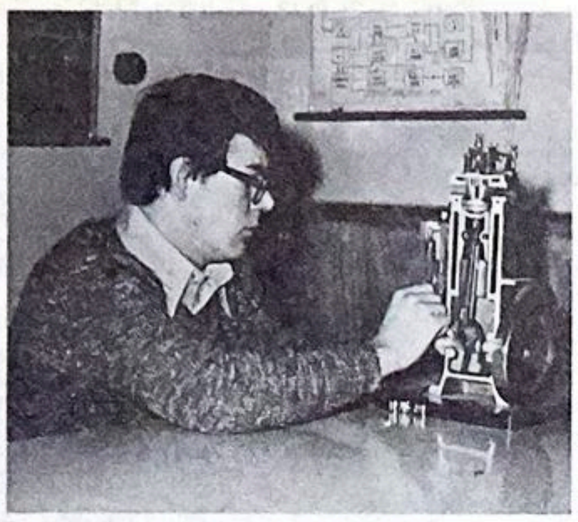

Piotr

Krystyna

GENIA

Ma 17 lat. Chodzi do trzeciej klasy jedynego w mieście liceum ogólnokształcącego. Uczy się bardzo dobrze. Znajomi mówią do niej – Genia.

– Moją pasją są języki obce. Uczę się angielskiego, niemieckiego, francuskiego i rosyjskiego. Najbardziej lubię angielski. Może dlatego, że uczę się go najdłużej. Już siódmy rok. Zaczęłam na kursie w Miejskim Domu Kultury...

W naszym liceum wykłada się, niestety, jedynie język francuski. Ale z angielskim nie zerwałam. Jeżdżę dwa razy w tygodniu kilkanaście kilometrów do sąsiedniego miasta, na prywatne lekcje.

Przed paroma miesiącami przetłumaczyłam z angielskiego na polski stustronicową książkę, sentymentalną historię dziewczyny, która przeżywa pierwszą miłość. Jak dotąd nikt tego jeszcze nie czytał. Bo niby komu mogę to tutaj pokazać?!...

Cztery lata temu przeczytałam w gazecie, że dziewczyna z Nowej Zelandii szuka w Polsce znajomych. Napisałam do niej. Korespondencyjna sympatia z czasem zamieniła się w wielką przyjaźń, choć nigdy się dotąd nie spotkałyśmy. Na imię ma Althea. Jest w moim wieku. Mieszka w małej, nadmorskiej miejscowości. Piszemy do siebie o wszystkim – o kraju, mieście, rodzinie i znajomych, o swoich sprawach i kłopotach. Althea pisze wiersze. Kilka z nich czytałam i bardzo mi się podobały. Prócz listów wysyłamy sobie widokówki, albumy, a nawet maskotki. Ostatnio dostałam na urodziny figurki takich dwóch małych Indian... Koresponduję również z dwiema dziewczynami z Anglii i Węgier oraz z chłopcem z Sri Lanki. Jednak najniecierpliwiej czekam na listy z Nowej Zelandii i ogromnie się cieszę, gdy przychodzą. Althea jest moją największą przyjaciółką!

Pamiętam, że gdy kiedyś napisałam w ankiecie szkolnej o swoich zainteresowaniach językiem angielskim, wychowawczyni przyjęła to ironicznie. Nic nie powiedziała, ale tak spojrzała...

Nie mam większych kłopotów z nauką, chociaż nie przychodzi mi ona łatwo. Często mówią mi: „Po co się tyle uczysz? Na co ci to wszystko?" Czasami nawet dokuczają i jest mi wtedy przykro.

W domu też bywa różnie. Tata mówi: „Dobrze robi, niech się uczy, wyjdzie na człowieka", mama odrywa mnie od książek: „Zamęczysz się tą nauką!", a babcia tłumaczy wprost: „Po co ci ta nauka – wyjdziesz za mąż, przyjdą dzieci i będziesz stała przy garnkach".

Za półtora roku zdaję maturę. Chcę studiować język angielski i zostać tłumaczem. Teraz duże nadzieje wiążę z Młodzieżową Akademią Nauk, jaka powstaje w Katowicach. Liczę na MAN! Będę miała dostęp do dużych bibliotek, możliwość konsultowania się z prawdziwymi autorytetami, spotykania się z kolegami, którzy interesują się tym samym, co i ja. W sierpniu byłam na obozie naukowym MAN i poznałam już kilka takich osób.

PIOTR

Ma gruby, ciepły głos. Jego 182 centymetry wzrostu i barczysta budowa sprawiają wrażenie kogoś, kto wie, czego chce i komu trudno się sprzeciwić. Mówi szybko, z dużym zaangażowaniem:

– Technika to jest coś! Żadnego „lania wody", wszystko jasno, konkretnie. Bez zbędnego gadania! I można przy tym fantazjować, ale tylko w granicach zdrowego rozsądku i na podstawie konkretnych wyników.

Pierwszy model zrobiłem 10 lat temu. To był samochodzik automatyczny na podstawie projektu z książki Adama Słodowego. Teraz będę robił motorynkę. To taki mały motorower – wielkości średniej walizki, na którym można jeździć i to z prędkością 30 kilometrów na godzinę. Mam już silnik ze starego „Komara" i prawie wszystkie potrzebne części. Brak mi tylko kół, nie wiem, gdzie je zdobyć.

Pasjonuję się elektroniką. Jak prawie każdy chłopak buduję wzmacniacze i kolumny głośnikowe. Mam w domu własnej roboty sprzęt do mini-dyskoteki. Razem z ojcem i bratem spędzamy też wiele czasu przy samochodzie, jego naprawach i małych modernizacjach. Mój ojciec jest sztygarem w kopalni. Chciałbym być taki jak on: umie wszystko zrobić.

W moich planach jest jedna rzecz, którą bardzo chcę zrealizować. Wiem jak zbudować laser. Wydaje mi się, że mógłbym to zrobić. Brakuje mi tylko pewnych środków, głównie pieniędzy. Może uda się to w MAN-ie! W lecie byłem na obozie naukowym MAN, poznałem kilkunastu ciekawych ludzi, rówieśników. Mogłem porozmawiać o swoich zainteresowaniach z kimś, kto się na tym zna. Nawet sobie pomagamy z kolegami. Niedawno nie mogłem nigdzie zdobyć układów scalonych. Napisałem do Grzegorza, z którym poznaliśmy się na obozie. Przysłał mi potrzebne materiały, a ja pożyczyłem mu diody, których jemu z kolei brakowało. Teraz szykuję się na pierwsze spotkanie Akademii. Nareszcie będę mógł pod fachowym okiem poznać tajemnice fizyki i budować moje modele...

KRYSTYNA

W małym pokoiku najwięcej miejsca zajmuje biblioteczka. W niej – kilkadziesiąt cieńszych i grubszych tomików poezji. Te szczególnie ulubione stoją na specjalnej półce. Tam Krystyna sięga najczęściej.

– Sama nie wiem dokładnie, jak to się zaczęło. Wiersze podobały mi się zawsze, ale tak naprawdę, zaczęłam się interesować poezją w liceum. Na początku był Gałczyński, potem inni. Zaczęłam coraz częściej pożyczać z czytelni nowe tomiki, powoli zakładałam też swoją prywatną biblioteczkę. Wiersze, które najbardziej mi się podobają, wpisuję do specjalnego zeszytu.

Mam i drugi zeszyt z wierszami. Z tym, że te piszę sama. Jest ich już kilkanaście, ale nikt ich nie czytał, nawet mój chłopak. To jest mój świat i wydaje mi się, że nikt inny go nie zrozumie.

Jak czytać wiersze? Na to nie ma recepty. Ja czytam je bardzo wolno, uważnie. Zauważyłam, że czytając wiersz po raz drugi i trzeci, odbieram go inaczej. Potem dyskutuję o nim z koleżankami w klasie, które również interesują się poezją. Tę umiejętność rozumienia wierszy wpoił nam nasz wychowawca, nauczyciel języka polskiego.

Oczywiście nie wszyscy w klasie są zwolennikami poezji, ale nas jest więcej. Organizujemy spotkania literackie, wieczory poetyckie przy muzyce...

Bardzo dużo miłych wspomnień przywiozłam z wakacji, z obozu MAN. Pojechałam tam trochę niepewnie, ale nie żałuję. Było bardzo fajnie! Teraz spotkam się znów z kolegami z obozu. Będziemy wspólnie robili to, co nas interesuje. Pomogą nam w tym wykładowcy uniwersyteccy, specjaliści. To daje bardzo wiele przyjemności i satysfakcji...

* * *

Młodzieżowa Akademia Nauk powstała z inicjatywy Komendy Katowickiej Chorągwi ZHP i Kuratorium Oświaty i Wychowania w Katowicach. Jej członkami są już: Genia, Krystyna, Piotr i ich koledzy, którzy podobnie jak oni interesują się wybraną dziedziną wiedzy. Pracują w sześciu sekcjach: nauk społecznych, matematyczno-fizycznej, biologiczno-chemicznej, filologiczno-lingwistycznej, technicznej i artystycznej. Mają swój Senat i złożoną z naukowców Radę Naukowo-Opiekuńczą, która pomaga im w działalności, służy radą i pomocą w badaniach.

Program MAN-u przewiduje liczne zajęcia konsultacyjne, wykłady i ćwiczenia z wybranych problemów, sympozja, seminaria, obozy naukowe i wycieczki specjalistyczne. Dla Geni i jej kolegów Akademia jest nie tylko wielką przygodą, ale i szansą – okazją do poszerzenia swoich zainteresowań, do pokazania, co potrafią. A potrafią wiele. Szczególnie wtedy, gdy będą zrozumiani, odpowiednio pokierowani i otoczeni właściwą opieką. Na tym właśnie polega idea Młodzieżowej Akademii Nauk.

DARIUSZ KONIEC

Fot.: Z. Bisanz i M. Żbikowski

SMACZNEGO!

NIE TYLKO TO, CO NA TALERZU

Tak się składa, że jadam obiady w szkolnej stołówce. Same obiady są bardzo smaczne i prawie każdy je lubi, jest czysto, a stołówka jest ładnie urządzona. Wydawałoby się więc, że wszystko jest o'key, lecz jest pewne ale... Nie było dotychczas dnia, aby któraś z pań świetliczanek (stołówka jest częścią składową szkolnej świetlicy) nie wysyłała nas do sklepu. Ja jeszcze nigdy do sklepu nie poszłam i nigdy tego nie zrobię! Może się wydawać, że jestem zarozumiała lub nieuczynna, ale to nie o to chodzi. Lubię pomagać innym, ale ten wypadek przekracza wszystkie możliwości!

Bo to się dzieje tak: Jemy właśnie obiad, gdy podchodzi jedna z pań i mówi: „Pójdziecie mi, dziewczynki, do sklepu, jedna do warzywniczego, druga – do apteki, a ty – załatwisz mi taką jedną sprawę!" To ostatnie było skierowane do mnie. Może bym i poszła, ale... dlaczego ta pani nie zwróciła się do swojej własnej córki, która przy sąsiednim stole też właśnie jadła obiad?!

Albo jest tak: „Dwie dziewczynki pójdą obsłużyć panią dyrektor i nauczycieli!" Nauczyciele wraz z panią dyrektor też przyszli na obiad, więc my musimy odejść od swego stolika, a nasza zupa i drugie danie stygną.

Tak jest prawie codziennie. Zazwyczaj obie panie świetlicowe podchodzą do stolika, przy którym jedzą nauczycielki i narzekają na nas, jakie to my jesteśmy. Raz dosłyszałam taką rozmowę: „Ta nie może, bo buty ma za cienkie, druga, że coś ważnego musi załatwić, trzecia mówi, że jej się spieszy i co z nich za pożytek!" Rzeczywiście, zdarzało się, że tak mówiłyśmy, ale wcale nie kłamałyśmy, chociaż... i kłamać też czasami musimy. Chodzimy do VIII klasy i nie tylko sprawy szkolne mamy na głowie, ale także i obowiązki domowe. Chciałabym, żeby panie świetliczanki to zrozumiały i nie myślały o nas źle.

I jeszcze jedna sprawa. Naprawdę nie można obejść się bez cichej rozmowy przy stoliku w czasie obiadu, a jedna z pań za każde słowo wyrzucała nas za drzwi i kazała jeść na korytarzu. Rzecz jasna, że nikt nie będzie jadł gorącego dania na schodach i wtedy panie kucharki zaczęły na nas krzyczeć za pozostawione nietknięte obiady. Dopiero, gdy wyjaśniłyśmy im o co chodzi, sytuacja ta więcej się nie powtórzyła. Ale czy wszystko trzeba załatwiać w ten sposób?!

Może panie świetlicowe zmienią swój stosunek do nas, do uczniów, wtedy bylibyśmy bardzo wdzięczni. Bo w ogóle to nasza stołówka jest fajna, ale nie tylko to, co na talerzu jest ważne.

„ISIA"

(nazwisko, adres oraz numer szkoły – znane redakcji)

Cała ulica i pół szkoły jeszcze – szumi. Ple, ple, ple... Atrakcja nie z tej planety, coś się dzieje! Rzecz wygląda tak: w szkole działa kółko plastyczne, którego zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu w dość późnych godzinach popołudniowych. Na zajęcia kółka chodzi kilkunastoosobowa grupa chłopców i dziewcząt. Głównie z ósmych klas. Ni mniej ni więcej tylko okazało się, że trzech chłopaków z tego kółka ciągnęło po jego zajęciach trzy dziewczyny za boisko i zmuszało je do... picia wódki.

Dziewczyny podobno nie miały na to ochoty, ale bały się chłopaków, więc nic nikomu nie mówiły. Wreszcie któregoś dnia jakaś mama poczuła, że córka ma... wódczany chuch. Brrr!

Nie znam ani tych dziewczyn, ani tych chłopaków. Tylko trochę z widzenia. Trudno mi więc jest powiedzieć, jacy oni są. Jedno jest pewne – dziewczyny są ładne i na pewno się tym chłopakom podobały.

Dyskutowałyśmy w klasie, co my byśmy zrobiły będąc na ich miejscu. Ulka mówi, że ona to by od razu poszła na milicję. Grażyna, że przestałaby chodzić na kółko plastyczne. Jolka, że zaproponowałaby zamianę wódki na sok pomarańczowy, który bardzo lubi. Ja... Ja nie wiem.

Przyznam się, że cała ta historia brzmi dla mnie nieco nieprawdopodobnie. Wódka jest przecież bardzo droga, więc skąd np. ci chłopcy mieli na nią pieniądze? To pierwszy znak zapytania. Są i inne. Nie rozumiem, w jaki sposób można dać się zaciągnąć aż za boisko? To nie jest donikąd po drodze, a przecież ci chłopcy chyba siłą tych dziewczyn tam nie ciągnęli. Bo co – związali je, zakneblowali, załadowali na wózek i powieźli?!

Zresztą, nie wiem dokładnie. W końcu można niby kogoś czymś tak zastraszyć, że sam zrobi to, na co nie ma żadnej ochoty. Ale żeby wódkę pod przymusem pić?! W głowie mi się nie mieści!

Ulka mówi, że jestem naiwna, bo nie wiem do czego zdolni są chłopcy. Myślałby kto, że ona taka doświadczona! Nasłuchała się pewnie tego, co gadają wszystkie sąsiadki i teraz powtarza. Ja myślę, że sąsiadki wcale nie mają racji. Zrobiły z tych trzech chłopców zbrodzieni jakichś. A przecież oni mogli mieć jak najlepsze intencje, tylko że tak głupio wyszło. Te trzy dziewczyny natomiast, są we wszystkich opowieściach biednymi ofiarami. Aż litość serce ściska!

No nie, nie powiem – ja bym też nikomu z tej szóstki medalu za pomysłowość nie dała, ale... Jak na razie szum się zwiększa, a wszyscy bohaterowie – chodzą... smutni.

ANKA

NIEMI AKTORZY i królewskie listy

W pokoju pana Wacława Grymowskiego obrazy wiszą na szafie, bo nie ma dla nich miejsca na ścianach. Zajęły je gabloty z odznaczeniami wojskowymi, kolekcja orłów, stare szable i karabele. Na potężnym regale piętrzą się setki teczek z cennymi dokumentami. W mniejszej szafce mniej poważne zbiory: karneciki balowe, XIX-wieczne papeterie w kwiatki, haftowane czy zdobione papierową koronką. Aż trudno uwierzyć, że coś takiego można było kupić w sklepie. Część zbioru niszczeje w piwnicach. Hełmy leżą na balkonie, ledwo widać stary gramofon z tubą (do dziś na chodzie) wciśnięty pod szafę.

Życie kolekcjonera przy współczesnych metrażach mieszkań nie jest łatwe. Czasem trzeba nawet wyrzec się nowego nabytku.

– Mogłem kupić przedwojenne siodło artyleryjskie całkiem tanio. Ale gdzie je trzymać? Stare mundury nie mieszczą się w szafie. Gdyby tak PGM wygospodarował dodatkowe pomieszczenie, mógłbym bez przeszkód wzbogacić swoją kolekcję – wzdycha mój rozmówca.

Nic dziwnego, że tyle się tego nagromadziło. Pan Wacław zajmuje się kolekcjonerstwem od 70 lat. Hobby jest „obciążeniem dziedzicznym". Na dowód pan Grymowski wyjmuje dyplom Gwardii Narodowej z Powstania Listopadowego, należący do jego pradziadka.

Pierwszy okaz kolekcjonerski padł ofiarą zabiegów konserwatorskich. Chłopiec próbował oczyścić gwasz cebulą...

– W czasach mojej młodości była moda na kolekcjonerstwo. Zamożni gromadzili zbiory obrazów, sreber, porcelany. Dzieci mieszczańskie wydawały kieszonkowe w antykwariatach (stały na Świętokrzyskiej jeden przy drugim), albo w kramikach ze starociami na Kopernika. Tam, gdzie dziś jest Wyższa Szkoła Muzyczna był bazar, na którym za grosze kupowało się pakiety znaczków, guziki mundurów, odznaczenia wojskowe czy wysoko przez nas cenione ozdobne niemieckie kartki na przydział chleba z czasów I wojny światowej.

– A pańskie poważniejsze zajęcia?

– Przed wojną i w czasie okupacji wydawałem „Lecha", czasopismo poświęcone kulturze narodowej, miłośnictwu piękna, propagandzie książki. Sam tytuł ilustruje ideę przewodnią: te trzy czynniki miały pomóc zjednoczeniu Polaków zgrupowanych w różnych stronnictwach, stworzyć wspólną płaszczyznę porozumienia. Zdawałem sobie sprawę z tego, że potrzeba jedności, ale nie uzyskiwanej tamtadracją – wyolbrzymianiem cech narodowych. To pozwalało przetrwać niewolę.

„Lech" życzliwie przyjęty przez czytelników, rozchodził się w latach trzydziestych w nakładzie 3 tys. egzemplarzy. Czasopismo ukazywało się nieregularnie – pan Grymowski musiał do każdego numeru zebrać publikacje, oryginalne ilustracje. Sam też pisał i fotografował. Z dumą pokazuje zdjęcie pokoju Władysława IV, które wykonał przez okno. „Lech" okupacyjny prezentował się o wiele skromniej. W czterostronicówce wydawca drukował własne utwory. Ani jeden numer nie ocalał. Podobno na Śląsku jest jakiś egzemplarz...

Podczas Powstania Warszawskiego spłonęło mieszkanie pp. Grymowskich i zbiory zgromadzone w 15 pokojach. Pasja zbieracka nie opuściła jednak pana Wacława.

– Dlaczego to hobby jest takie silne?

– Hobby? – nie lubię tego słowa. Brzmi obco. Już lepsze jest określenie – dziecinada. Ja się bawię wzbogacając kolekcję, szperając w starych szpargałach. Umrę chyba na „szukaczkę".

– Kolekcja kolekcji nierówna...

– Oczywiście. Ludzie zbierają opakowania żyletek, papieru toaletowego, jedna pani ma 1000 różnych serwetek papierowych. Sam pytam – po co? Chyba tylko po to, żeby się pochwalić przed innymi i żeby tamtych szlag trafił. Bo już stare butelki, czy ich etykietki mogą przydać się w filmie. Widzi pani, zbieranie musi mieć jakiś sens. Ja jestem dokumentalistą.

– Czym różni się dokumentalista od historyka?

– Historyk może powiedzieć kiedy, o której godzinie wybuchło Powstanie Warszawskie. Ale nie będzie wiedział, co nosił wtedy na czapce granatowy policjant.

– Pokazywał pan listy królewskie, paszport z czasów cara Mikołaja I, z pieczęcią wolnego miasta Krakowa. Te dokumenty powinny się znaleźć w owych czasach już to w archiwum, już to w komisariacie policji...

– Nieprawda! Zwrot paszportów wprowadzono niedawno. A listy Stanisława Augusta i Fryderyka Augusta były adresowane do osób prywatnych. Te pamiątki kultury narodowej mogą równie dobrze spoczywać w zbiorach państwowych, jak i prywatnych. Nie kupuję nigdy od osób nieznanych, żeby nie nabyć rzeczy kradzionych. Kiedyś ważne dokumenty nabyłem... od palacza c.o. W momencie kupna przedmiot transakcji jest dla mnie wart wszystkiego. Ale nie zapisuję nigdy, ile zań zapłaciłem. Kto zaczyna notować ceny, a potem sprzedawać z zyskiem, staje się handlarzem. Testamentem chcę przekazać swoje najcenniejsze zbiory – zwłaszcza zbiór podstawowy dotyczący wojny i okupacji swojej uczelni – Uniwersytetowi Warszawskiemu. Z moich dokumentów już dziś korzystają naukowcy.

– Rozumiem wagę dokumentu dla historii. Ale przedmioty naturalną koleją rzeczy winny ginąć, wypierane przez nowości.

– A ta stara maska gazowa to nie dokument? A te karabele, szable, rapier? A 106-letnia lalka Florentyna, ubrana w najdrobniejszych, bieliźnianych nawet szczegółach, jak damy w tamtych czasach? Czy pozwolicie, że teraz ja zapytam? Jak wyglądał w latach 50-tych przystanek tramwajowy? Bilet tramwajowy, autobusowy, kolejowy?

Milczymy z kolegą fotoreporterem jak zaklęci.

– Teraźniejszość leży na styku jakby 2 kół obracających się w przeciwnych kierunkach: przeszłości i przyszłości. To, co współczesne, szybko się starzeje. Kto pamięta dziś wspaniałą cerkiew stojącą jeszcze przed wojną na placu Saskim, utrwaloną na tylu kartkach? Kiedy 20 lat temu pracowałem jako radca prawny w Fabryce Mydła i Kosmetyków na Szwedzkiej, stały tam liczne domy drewniane. Co dziś z nich pozostało? Tak popularne pocztówki z wizerunkami Pstrowskiego czy Bolesława Bieruta są teraz rzadkością. Stąd wniosek: zbierajmy dokumenty dzisiejszego dnia. Współczesne pocztówki, nim się zestarzejecie będą miały wartość historyczną. O tym, jak je kolekcjonować – chętnie porozmawiam innym razem.

MARIA WRÓBLEWSKA
Fot. **Marek Szymański**

Pan Wacław Grymowski prezentuje dyplom Gwardii Narodowej pradziadka z czasów Powstania Listopadowego.

Nic, tylko wyruszyć na bal.

● TU LIGA REPORTERÓW „ŚWIATA MŁODYCH" ● TU LIGA REPORTERÓW

WITAM WAS!

Zasypaliście mnie lawiną listów. Na moje ostatnie wezwanie nadeszło ponad 200 korespondencji. Większa część jest dobra, niektóre bardzo dobre. Szczególnym powodzeniem cieszył się temat: „To się po prostu marnuje". W najbliższych numerach przeczytacie właśnie takie korespondencje. Dziś drukuję dwie o sukcesach 1976 roku.

Ponieważ przysłaliście tak dużo swoich prac, musicie uzbroić się w cierpliwość. Nawet gdyby w każdym numerze „ŚM" drukować po dwie korespondencje, to mam w tej chwili zapas na dwa miesiące. Myślę jednak, że to nie ostudzi Waszego zapału. Liczę, że w dalszym ciągu będziecie pisać!

Postanowiłem dlatego zmienić regulamin naszej Ligi. Członkiem Ligi Reporterów „Świata Młodych" (wiąże się to z otrzymaniem znaczka i ogłoszeniem nazwiska w gazecie) zostaje ten, którego jedna korespondencja zostanie wydrukowana – a nie jak wcześniej ustaliłem – dwie. Dziś pierwsza lista przyjętych do Ligi według nowej zasady.

Czekam na listy!

SZEF LIGI REPORTERÓW
KAZIMIERZ PASEK

CD. LISTY SZEFA

Złote odznaki reportera „SM" otrzymują:
nr 50 Iwona Lisek,
nr 56 Sławomir Malinowski,
nr 68 Zofia Żytka,
Członkami Ligi Reporterów (odznaka brązowa) zostają:
nr 79 Ewa Dobosz,
nr 80 Ewa Goska,
nr 81 Izabela Łapacz,
nr 82 Leszek Redzimski
nr 83 Justyna Zuń,
nr 84 Urszula Zdrojewska,
nr 85 Krzysztof Chojecki,
nr 86 Ewa Pruszyńska,

REPORTER Świata Młodych

Dobry rok

Styczeń, luty. Pod koniec stycznia rozpoczynały się ferie zimowe. W ostatnie dni nauki każdy chwalił się gdzie to on nie wyjeżdża. Niemal cała nasza klasa wybierała się na obóz narciarski. Zazdrościłam im. Ja nie mogłam jechać, bo po prostu nigdy nie miałam nart na nogach. Koleżanki namawiały, żebym jednak się zdecydowała, że nauczą mnie jeździć na nartach. I pojechałam. W Wiźnie, mimo męczących treningów, było naprawdę fajnie. Pod koniec obozu zorganizowano zawody. Dziewczęta startowały w biegu płaskim na dystansie 1500 metrów. Na starcie stanęło 35 zawodniczek z różnych szkół naszego województwa. Moim marzeniem było zmieścić się w pierwszej dziesiątce. Jakież było moje zdziwienie, gdy dowiedziałam się na mecie, że mam bardzo dobry czas. Ostatecznie zajęłam trzecie miejsce! To mój ogromny sukces.

Marzec. O szczęście niepojęte! Tato wreszcie skończył studia i można będzie oglądać filmy i „Kobrę" w telewizji. Już nie będę mu przeszkadzała w nauce. Za pracę dyplomową („Wpływ planu zagospodarowania przestrzennego gminy na jej rozwój gospodarczy") tatuś otrzymał ocenę bardzo dobrą!

Kwiecień. Odbyły się gminne eliminacje II Konkursu Polonistycznego. Byłam ich najmłodszą uczestniczką, ale zajęłam trzecie miejsce.

Maj jest miesiącem zakochanych, ale niestety nikt nie zakochał się we mnie. Szkoda.

Czerwiec. Do VIII klasy zdałam z samymi piątkami. To chyba też sukces!

Wrzesień. Wszyscy mówią, że coraz lepiej gram w siatkówkę. Chyba to prawda. Awansowano mnie na kapitana drużyny.

Grudzień. Odbyły się eliminacje gminne III Konkursu Polonistycznego. Bardzo solidnie przygotowałam się do konkursu i po długiej walce odniosłam sukces: zakwalifikowałam się do eliminacji wojewódzkich. Oby tak dalej!

„BUKWA", Szepietowo
korespondencja pierwsza

REPORTER Świata Młodych

Trzy sukcesy

Siódmą klasę ukończyłem z samymi piątkami. To najważniejsze dla mnie wydarzenie ubiegłego roku. Z takimi ocenami mam szansę dostać się do wymarzonego liceum. Pod koniec roku szkolnego trochę się denerwowałem. Z polskiego wychodziła mi średnia arytmetyczna 4,4, a z geografii 4,1. Ostatni tydzień jednak wszystko rozstrzygnął. Z ulgą i zadowoleniem dowiedziałem się, że na świadectwie będę miał same piątki! Teraz muszę zrobić wszystko, żeby piątki powtórzyły się w ósmej klasie.

Pod koniec października dowiedziałem się, że organizowana jest przez szkołę wycieczka na Węgry. Na przerwie poszedłem zapytać panią od geografii czy to prawda. Okazało się, że tak. Jeszcze tego samego dnia przyniosłem wpisowe. Byłem bardzo szczęśliwy. Świat okazał się piękniejszy. Dawniej zazdrościłem siostrze i znajomym wyjazdów za granicę. Teraz i ja pojadę! Wieczorem przeglądałem przewodniki turystyczne. Już wiem, co chciałbym zobaczyć. Długo tego dnia nie zapomnę. Tym bardziej, że wtedy właśnie podjąłem samodzielnie pierwszą ważną decyzję. Rodziców nie było w domu i pieniądze podjąłem z własnej książeczki PKO. Przydała się!

Moja szkoła powstała 4 lata temu. Przez ten czas nie odnosiliśmy żadnych sukcesów sportowych. Dopiero w 1976 roku udało się. W biegach przełajowych zajęliśmy czwarte miejsce. W turnieju piłki nożnej drużyna naszej szkoły była drugą w mieście. Był to pierwszy dobry występ naszej szkoły!

„G-J-P-R", Włocławek
korespondencja pierwsza

REDAKCYJNA POCZTA

U nas, w Złocieńcu

Do napisania tego listu zachęcił mnie artykuł o szkole w Rypinie (152 numer „ŚM"). Postanowiłam i ja pochwalić się swoją szkołą, która także ma się czym poszczycić, bo i dobrymi wynikami w sporcie, i nauce. Chłopcy zdobyli mistrzostwo Polski w czwórboju, a w piłce nożnej zajęli drugie miejsce w województwie. Można by jeszcze długo i dużo wyliczać, ale jedno jest pewne – wszystkie te wyniki szkoła zawdzięcza nauczycielowi wf, p. Andrzejowi Kordowi oraz sportowcom. Ale u nas nie tylko sport się liczy. Dużą wagę przywiązujemy do nauki. Wiele zawdzięczamy nauczycielce opiekującej się samorządem, p. Zalewskiej oraz dyrektorowi szkoły, p. Bąkowskiemu. Nauczycielka opiekująca się samorządem zmieniła wiele w naszej szkole. Zorganizowała pomoc uczniowską, sąd koleżeński, pobudziła do życia wiele kół zainteresowań, np. fotograficzne, plastyczne i inne. Wystarała się też o nagrody za zbiórkę złomu. Młodsi uczniowie mają wieczory bajek, konkursy i gry. W najbliższym czasie w naszej szkole mają być zainstalowane głośniki, będzie można posłuchać muzyki podczas przerwy. Myślę więc, że mamy się czym pochwalić.

Uczennica klasy VII
Szkoły Podstawowej Nr 1
w Złocieńcu

Anna Grzanecka, [redacted] **interesuje się biologią, lubi przyrodę, szuka koleżanek i kolegów powyżej 15 lat.**

Pomóżcie mi napisać

Nasza pani od fizyki poleciła nam zebranie materiału na temat satelitów Ziemi oraz lotów kosmicznych. Wszystko ma być aktualne, nie mogę więc skorzystać z encyklopedii, gdyż wydano ją kilka lat temu. Zwracam się do was, bo wiem, że możecie mi pomóc.

Janusz, Skierniewice

OD REDAKCJI: Pomagać w odrabianiu domowych zadań, pisaniu referatów itp. – nie możemy! Januszowi radzimy skorzystać z wiadomości, jakich dostarcza stała pozycja w „Świecie Młodych" pt. „TOMIK".

Do „okularników"

Nie mogły ujść mojej uwadze listy „okularników". Ja także się do nich zaliczam, ale zupełnie nie jestem tym zmartwiona. W szkole wcale nie wołają za mną „cztery oczka". No, może w pierwszym dniu, kiedy zjawiłam się w klasie w okularach, rozśmieszyłam nieco kolegów... Teraz jednak mówią, że w okularach wyglądam dobrze, ja zaś lubię je nosić, bo nie wytężam wzroku patrząc na tablicę. Nie wierzę też, że ktoś, kto starannie dobiera oprawki, źle w nich wygląda. Poza tym trochę zdziwiła mnie propozycja założenia klubu okularników. Czy okularnicy zamierzają wspólnie płakać nad swoją dolą?

Ewa

Jesteśmy przeciwko piętnowaniu

Piszą do was uczennice z Liceum Ogólnokształcącego w Stoczku Łukowskim. Choć jesteśmy tutaj od kilku miesięcy, zauważyłyśmy bardzo dziwne obyczaje. Jednym z nich jest zwyczaj wyczytywania podczas apelu złych stopni wraz z nazwiskiem ucznia. Naszym zdaniem jest to nieodpowiednie, ponieważ po takim apelu uczeń, którego nazwisko zostało wymienione jest wyśmiewany przez innych. Nie wiemy natomiast, czy taka forma publicznej nagany wpływa na zwiększenie zapału do nauki? Radebyśmy poznać opinie kolegów.

Emancypantki

GWIAZDOZBIÓR

O „Nocach i dniach” z Jadwigą Barańską

„Za niezwykle subtelny, barwny, urozmaicony portret całego życia kobiety” – tak brzmiał werdykt jury przyznający Jadwidze Barańskiej Srebrnego Niedźwiedzia dla najlepszej aktorki na XXVI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie Zachodnim. Dzieje Barbary i Bogumiła ożyły na ekranie. Choć premiera „Nocy i dni” odbyła się w roku 1975, to jednak do dziś film ten, a szczególnie główna kobieca rola, pozostawiają po sobie niezatarte wspomnienia.

Ta opowieść o zamierzchłej zdawałoby się przeszłości, wskrzeszająca świat bezpowrotnie miniony i obyczajowość odbiegającą od dzisiejszych wyobrażeń, stała się pierwszym polskim filmem psychologicznym, w którym odnaleźć można prawdy ludzkie, bliskie odczuciom współczesnego człowieka. Da się w tym filmie odnaleźć autentyczne obserwacje dotyczące podstawowych stosunków międzyludzkich. Oglądamy więc codzienne życie zwyczajnej rodziny, wyznaczone rytmem ciężkiej pracy, krótkotrwałych nadziei, rytmem narodzin i śmierci osób najbliższych. Film ten zachwycił mnie także i dlatego, że grająca Barbarę Niechcicową Jadwiga Barańska stworzyła niepowtarzalną kreację kobiecą. Jednak do sukcesu przyczynił się nie tylko talent aktorki, ale i wielomiesięczna ciężka i żmudna praca. Przez rok, przed rozpoczęciem zdjęć pani Barbara wspólnie z reżyserem, Jerzym Antczakiem, pracowała nad poszczególnymi kwestiami.

– Wierzę – powiedziała podczas naszego spotkania – w dobrze przygotowaną improwizację. Ale na sukces tego filmu złożyła się także wspólna praca całej grupy realizacyjnej. Był to szalenie zgrany zespół i ja osobiście wiele zawdzięczam ich serdeczności, życzliwości i wyrozumiałości. Na planie panowała cudowna atmosfera. Nie było zbędnych napięć, niechęci.

– Wszyscy z niecierpliwością czekamy na telewizyjną wersję „Nocy i dni”. Kiedy ukaże się pierwszy odcinek?

– Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Kończymy właśnie udźwiękowienie trzynastoodcinkowego serialu. Dzieje moich filmowych dzieci będą w nim znacznie rozszerzone.

– Dwie wybitne role stworzyła pani w filmach Jerzego Antczaka. Pierwszy to „Hrabina Cosel”, drugim zaś były „Noce i dni”. Czy zatem można przypuszczać, że praca pod kierunkiem tego reżysera szczególnie sprzyja pani aktorskim możliwościom.

– W moim przekonaniu poza wiedzą, intelektem, doświadczeniem, instynkt aktora jest rzeczą najważniejszą. Antczak był kiedyś aktorem, ma więc inne doświadczenie niż reżyserzy, którzy nigdy nie występowali przed kamerą i na scenie. Znamienne wydaje mi się, że tak wybitny reżyser, jakim jest Bergman, powiedział, że interesuje go tylko fotografowanie ludzkiej duszy. Jeśli więc aktor ma szczęście trafić na reżysera, który myśli w podobny sposób, to wówczas można wierzyć, że wynik ich pracy będzie istotnie dobry.

– Barbara Niechcicowa to kobieta wrażliwa. Sądzę, że i cząstkę swojej wrażliwości przekazała pani bohaterce...

– Właśne klęski powodują u wrażliwych ludzi wrażliwość psychiczną, która z kolei wyzwala siły i odporność, o jaką człowiek by sam siebie nie posądzał. Wydaje mi się, że każdemu z nas ten własny, wyimaginowany świat jest potrzebny. Ja np. nie potrafiłabym zaprzyjaźnić się z człowiekiem niewrażliwym... Lubię też pracować z wrażliwymi partnerami. Rozumiemy się wtedy bez słów.

– Czy były jakieś propozycje, które wniosła pani do roli Barbary?

– Antczak widział w tej kobiecie co innego, a ja co innego. Wybrałam więc do swojej roli te cechy, które najbardziej mnie pasjonowały w postaci Barbary stworzonej przez Marię Dąbrowską. Barbara to kobieta przeżywająca swe życie na wielu planach: w rzeczywistości, w imaginacji i w podświadomości. Starałam się więc wydobyć charakterystyczny dla niej dystans i krytyczny stosunek do samej siebie. Instynkt prowadził mnie w tym kierunku, a reżyser to zaakceptował.

– Dowiodła pani, że postacie historyczne, kostiumowe mogą przekazywać prawdy ponadczasowe i problemy stale aktualne.

– Kostium nie ma przecież znaczenia. Ważne jest to, co dzieje się w człowieku. Powinno się moim zdaniem mówić raczej o temacie współczesnym... Głównym zadaniem aktora, czy reżysera jest przybliżenie postaci każdemu widzowi. Ludzkie namiętności nie zmieniają się przecież, bo i uczucia są nieprzemijające. Sztuką jest więc przekazanie tych namiętności i to w taki sposób, aby kostium nie zabił tego, co dzieje się w człowieku.

– Grana przez panią bohaterka chętnie ucieka w krainę marzeń. Czy i pani marzy o przyszłych, równie wspaniałych rolach?

– Nie, takich marzeń nie mam. Jadwiga Chojnacka – wykładowczyni z łódzkiej PWST – nauczyła mnie, że w zawodzie aktora nie można marzyć. Unika się wtedy wielu rozczarowań.

MARTA SZTOKFISZ
Fot. **Romuald Pieńkowski**

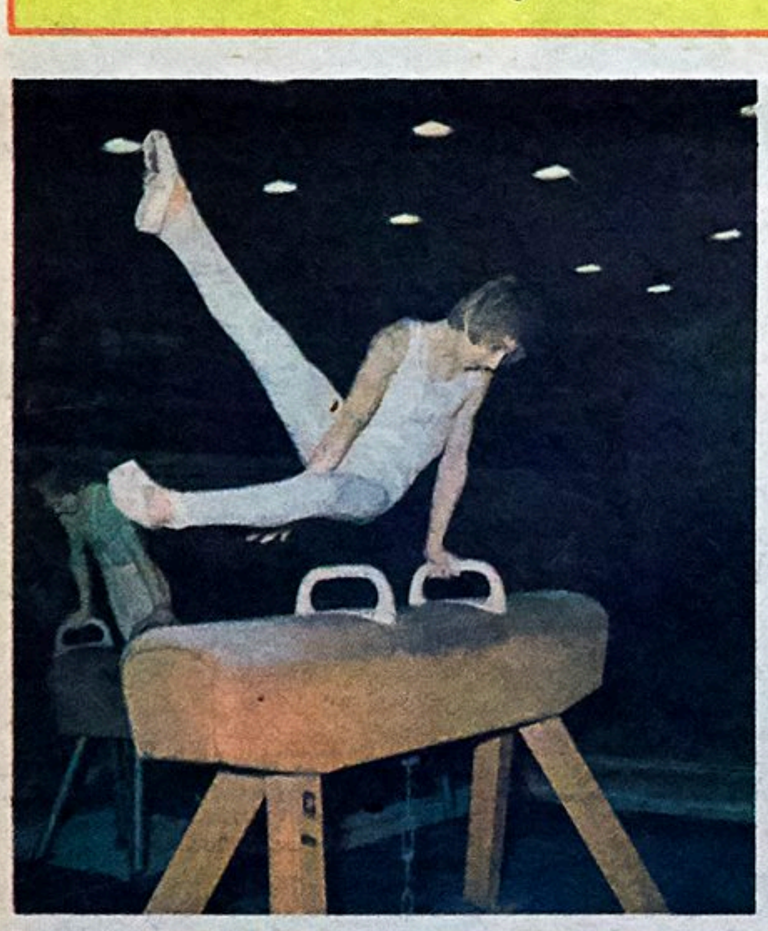

szkoła-klub

ZAWISZACY NA KONIU Z ŁĘKAMI

Na ubiegłorocznych Igrzyskach Młodzieży Szkolnej w Poznaniu bydgoska SP-30 uplasowała się na czwartym miejscu w punktacji generalnej, na pierwszym zaś w klasyfikacji szkół niesportowych. Autorami tej niespodzianki i największej sensacji igrzysk byli gimnastycy „trzydziestki”. Ciekawe są źródła ich sportowego awansu, sposoby godzenia codziennych zajęć na gimnastycznej sali z obowiązkami uczniowskimi. Wreszcie – i to jest chyba najistotniejsze – współpraca z WKS „Zawisza”, klubem, który od kilku lat sprawuje patronat nad szkołą. Naszym rozmówcą jest nauczyciel wf w SP-30 Bydgoszcz, pan **Karol Paszkiewicz.**

– Panie Karolu, treningi pańskich uczniów odbywają się sześć razy w tygodniu. I to w różnych porach dnia. Czyżby plan zajęć szkolnych podporządkowany był gimnastykom?

– Może to wydawać się dziwne, ale tak właśnie jest. Użył pan słowa „treningi”. Dla tych najmłodszych kandydatów na następców Andrzeja Szajny są to raczej zabawy gimnastyczne, wyrabiające skoczność i zmysł równowagi, a także oswajające ze znajdującymi się na sali przyrządami. O dobroczynnym wpływie gimnastyki na prawidłowy rozwój fizyczny nie potrzeba chyba mówić...

– A jak młodzi gimnastycy dają sobie radę z matematyką, fizyką, językiem polskim?...

– Z tym kłopotów nie mamy. Aby nie zaniedbać nauki większość programu szkolnego przerabia się na lekcjach. Mniej pracy zadaje się do domu. Do tego potrzebne jest zrozumienie dyrekcji i całego grona pedagogicznego. Pod tym względem naszym uczniom mogą zazdrościć chyba wszyscy rówieśnicy z innych szkół. Jeżeli młodzież wyjeżdża na zawody, to przez następne kilka dni nie wisi nad nią zmora odpytywań i wszelkich innych typów sprawdzianów. Jest więc czas na odrobienie wynikłych strat. Systematyczne analizy ocen uczniów wykazują, że ci z klas sportowych mają średnio wyższe stopnie o 0,2. Ale jeżeli zachodzi potrzeba – najsłabszym uczniom idą w sukurs korepetytorzy, których finansuje WKS „Zawisza”.

– Trenujecie w pięknej hali tego klubu, praktycznie można powiedzieć, że własne osiągnięcia zawdzięczacie „Zawiszy”?

– Trudno byłoby cokolwiek osiągnąć bez pomocy WKS. Klub zaopatruje nas w sprzęt, funduje zawodnikom posiłki, nad całością naszych zajęć czuwa Bernard Pochylski, trener „Zawiszy”. Inicjatorem założenia sportowych klas w SP-30 był też długoletni działacz WKS, Józef Karniewicz...

– Warunki pracy macie więc idealne. Również opiekuna, który nie widnieje tylko w sprawozdaniach. Czy podobną współpracę klubu ze szkołą można nawiązać nawet w najmniejszych miejscowościach?

– Oczywiśnie, że tak. Czas zrozumieć fakt, że szkoła pozostawiona sama sobie niewiele dziś zdziała. Każdy klub, nawet wiejski LZS, posiada własne boisko, które przez większość dni w roku świeci pustkami, a szkoły nie mogą z niego korzystać. Ba, często sami dyrektorzy szkół przeciwni są udziałowi swoich uczniów w imprezach pozaszkolnych, nie mówiąc już o należności do wiejskiego czy miejskiego klubu. A wystarczy trochę chęci i kompromisu z obu stron.

– Wróćmy jednak do pańskich gimnastyków. Jakie macie plany na przyszłość?

– Marzy nam się, aby z tych maluchów, którzy dziś ledwie gramolą się na konia z łękami i z dziecinną dumą mówią o sobie „jesteśmy zawiszakami”, wyrośli kiedyś następcy Andrzeja Szajny. Będzie to chyba ich najlepsza zapłata za trud wielu trenerów i nauczycieli oraz pomoc uzyskaną od WKS „Zawisza”.

Rozmawiał:
Z. PRZYBYŁOWSKI
Fot. **M. Szymański**

ZSRR (PAP). Wiadomo, że jaszczurkom i salamandrom odrastają oderwane ogony i odnóża. Młode kijanki również odzyskują utracone nóżki, lecz starsze i żaby tracą tę cenną możliwość. Dlaczego tak się dzieje? Tajniki procesu regeneracji bada radziecki biolog, prof. Lew Poleżajew. Okazało się, że u zwierząt, które odtwarzają utracone organy, mięśnie, chrząstka i tkanka łączna w miejscu zranienia upraszczają swoją strukturę. W ten sposób odmłodzone, aktywizują się nabierając większej zdolności do rozmnażania.

Nadzieja medycyny

EKSPERYMENTY Z REGENERACJĄ

Uczony wywoływał również sztucznie odrastanie organów u dorosłych żab. Działaniem prądu elektrycznego i substancji chemicznych doprowadził do tego, że tkanki przy ranie ulegały takim samym przemianom jak u jaszczurek i salamander. Dzięki temu żaby odzyskiwały kończyny.

Doświadczenia te mają ogromne znaczenie dla medycyny. Nie udało się jeszcze doprowadzić do regeneracji kończyn u ludzi, opracowano jednak metody, które pozwoliły na odtworzenie innych organów lub partii tkanek. I tak np. u człowieka, który uległ wypadkowi, wywołano regenerację płaskich kości czaszki. **(mat)**

CO DALEJ ÓSMA KLASO

LICEUM MEDYCZNE

Uczymy się w Liceum Medycznym im. Marii Skłodowskiej-Curie w Kaliszu. W tym roku szkoła nasza przewiduje przyjęcie do klas pierwszych około 80 osób. Kandydaci powinni złożyć (nadesłać na adres szkoły) w terminie do 20 maja br. następujące dokumenty: życiorys, podanie, świadectwa z klas VII i VIII, kartę zdrowia oraz 3 fotografie.

O przyjęciu do naszego liceum decyduje konkurs świadectw oraz konsultacja (rozmowa) z kandydatami. O terminie tej rozmowy kandydaci zawiadamiani są pisemnie.

Jak większość szkół, tak i nasza podlega ścisłej rejonizacji, tzn. przyjmowana jest do niej młodzież tylko z woj. kaliskiego. Przy liceum istnieje internat. Mogą w nim zamieszkać wszyscy, którzy mieszkają zbyt daleko i nie mogliby codziennie dojeżdżać. Warto dodać, że szkoła nasza przyjmuje zarówno dziewczęta jak i chłopców.

Nauka trwa 5 lat. Oprócz przedmiotów ogólnokształcących, mamy zajęcia czysto specjalistyczne. Są to np. farmakologia, chirurgia, choroby wewnętrzne, pielęgniarstwo. W trakcie nauki przez cały czas odbywają się praktyki. Ich liczba zwiększa się w starszych klasach. Pracujemy w szpitalach, w żłobkach i w przedszkolach. W V klasie otrzymujemy dyplom (oczywiście po zdanym egzaminie) oraz świadectwo maturalne. Po ukończeniu liceum szkoła zapewnia każdemu uczniowi pracę oraz zakwaterowanie, a wszyscy, którzy zdali maturę, mogą ubiegać się o przyjęcie na każdy kierunek studiów wyższych.

Przy naszej szkole działa szczep HSPS oraz koła PCK, TPPR i PTTK. Często organizujemy sobie rajdy, wycieczki i biwaki.

Rada Szczepu HSPS
im. Z. Szlenkierówny w Kaliszu.

Na terenie całej Polski istnieje 107 liceów medycznych. Ich adresy można znaleźć w „Informatorze dla Kandydatów do Szkół Zawodowych na Podbudowie Programowej Szkoły Podstawowej". (ach)

Przedstawiam dziś wypowiedź Stanisława Lasko na temat „życia" gwiazd. Jest to pożyteczna lektura, zwłaszcza pierwsza część w dość prosty sposób wyjaśnia przemiany jądrowe we wnętrzu gwiazd, przede wszystkim „spalenie" się wodoru – podstawowego ich budulca.

Jeśli chodzi o dalsze przemiany jednych pierwiastków w drugie i w coraz cięższe, aż do unicestwienia się gwiazdy, to nie jesteśmy zupełnie pewni, czy tak jest w rzeczywistości. Traktujemy więc to jako dość prawdopodobną hipotezę.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

ŻYCIE GWIAZD

Od kilku lat interesują mnie gwiazdy, ich budowa, odległości od siebie, ciężar, siła przyciągania. Moimi wiadomościami na temat budowy gwiazd chciałbym się podzielić również z czytelnikami TOMIKA.

Czy gwiazdy istnieją wiecznie, czy kiedyś giną? Dlaczego właściwie świecą? Co jest źródłem tak dużej energii tych ciał niebieskich? Do niedawna nikt na te pytania nie umiał odpowiedzieć, chociaż nauka wiedziała już wiele. Wiedziano na przykład, że Słońce, najbliższa Ziemi gwiazda, składa się przeważnie z wodoru; na drugim zaś miejscu pod względem ilości znajduje się hel. Wykazano to dzięki tzw. analizie widmowej. Jest to niezwykle czuła metoda, oparta na obserwacji widma par danej substancji. Metoda ta została opracowana przez dwóch wybitnych fizyków niemieckich, Bunscha i Kirchhoffa, jeszcze w ubiegłym stuleciu.

Skoro uczeni wiedzieli już, że na Słońcu najwięcej jest wodoru i helu, wysunięto przypuszczenie, że pierwszy z tych pierwiastków zamienia się w drugi według wzoru: $4H = He$, co oznacza, że cztery atomy wodoru zamieniają się w jeden atom helu.

Na początku XX wieku jeden z największych uczonych, Albert Einstein, podał nowe prawo podające współzależność między masą i energią:

$$E = m \cdot c^2$$

gdzie E oznacza energię, m – masę, a c – prędkość światła podniesioną do kwadratu.

Wiemy, że cztery atomy wodoru zamieniają się w jeden atom helu. Ciężar atomowy helu musi być więc cztery razy większy od ciężaru atomowego wodoru. Znając ciężary tych dwóch pierwiastków i chcąc sprawdzić, czy wyżej podane zdanie jest prawdziwe, przeprowadzamy rachunek:

$$4 \cdot 1{,}008 = 4{,}032$$

Tymczasem ciężar atomowy helu jest mniejszy i wynosi 4,003. Różnica wynosi 29. A więc prawie 0,03 g. Te brakujące 0,03 grama, które „znikają" przy zamienianiu się czterech gramów wodoru na hel, wyzwalają w efekcie energię ponad miliarda kalorii. Jest energia wystarczająca aby doprowadzić do wrzenia 10 000 ton wody! Taka sama reakcja zachodzi w bombie wodorowej. Na Słońcu w ciągu każdej sekundy 570 milionów ton wodoru zamienia się na 566 milionów ton helu, a ilość kilokalorii, jaka się przy tym wydziela, musielibyśmy oznaczyć w taki oto sposób:

1300000000000000000000000000 kcal.

czyli 13 z 25 zerami. Do Ziemi dociera jednak tylko jedna dwumiliardowa część tej energii wypromieniowanej przez Słońce. Oczywiście, taka reakcja może przebiegać tylko przy temperaturze 20 milionów stopni.

Hel utworzony z wodoru jest bardzo ściśnięty i tworzy jądro, wokół którego powstaje otoczka z wodoru rozrzedzonego. Pod wpływem ciśnienia w jądrze gwiazdy temperatura silnie wzrasta, gdy tymczasem wodorowa otoczka Słońca, czy jakiejkolwiek podobnej mu gwiazdy – stygnie. W jądrze tymczasem panuje temperatura 150 milionów stopni. Poza tym gęstość tych gwiazd jest ogromna – jeden cm^3 ich substancji waży kilkaset kilogramów. I tu zaczynają się inne reakcje, w wyniku których powstają kolejno: węgiel, neon, magnez, itd. Tak więc tworzą się kolejno coraz cięższe pierwiastki. Wreszcie w pewnym momencie powstają cząstki elementarne – protony, cząstki alfa i co najważniejsze – neutrony.

Jednym z takich wytwarzających się pierwiastków jest technet. Jego okres połowicznego rozpadu wynosi 200 000 lat. Rozpad połowiczny jest to czas, po upływie którego liczba atomów pierwiastka promieniotwórczego zmniejsza się o połowę. Jednak cały cykl przemian pierwiastków kończy się, a jednocześnie gwiazda gaśnie. Dlatego też gasnąć muszą wszystkie gwiazdy, ale na ich miejsce pojawiają się nowe.

Dziś astronomowie nazywają nagle pojawiające się i niezwykle jasne gwiazdy supernowymi. Gwiazdy te pojawiają się niezwykle rzadko. Uczeni obserwując gwiazdy supernowe zauważyli, że jasność takiej gwiazdy zmniejsza się o połowę w ciągu 55 dni. Ale dlaczego właśnie w ciągu 55 dni, a nie na przykład 201 lub 16? Wpływ na ten okres ma promieniotwórczy pierwiastek kaliforn, którego okres połowicznego rozpadu wynosi właśnie 55 dni. Na tym właśnie pierwiastku kończy się cykl przemian we wnętrzu gwiazdy. Kiedy powstanie tam kaliforn, jest to najlepszy dowód, że gwiazda wkrótce przestanie istnieć. Jądra kalifornu rozlatują się pod wpływem ogromnej temperatury i ciśnienia na najdrobniejsze „odłamki". Są to neutrony i protony. Protony są jądrami wodoru. Kiedy gwiazda przestaje istnieć, ponownie powstaje wodór, którego w przestrzeni kosmicznej jest zresztą bardzo wiele. Jest on rozproszony, ale pod wpływem sił ciążenia poczyna się gromadzić w olbrzymie skupiska. Trwa to chyba miliardy lat. Kiedy nazbiera się tyle wodoru, że temperatura i ciśnienie wzrosną bardzo znacznie, powstaje nowa gwiazda.

STANISŁAW LASKO

Oto zdjęcie Słońca wykonane w promieniach X z pokładu stacji orbitalnej „Skylab". Wyraźnie widać, że powierzchnia naszej najbliższej gwiazdy jest gigantycznym wrzącym „kotłem".

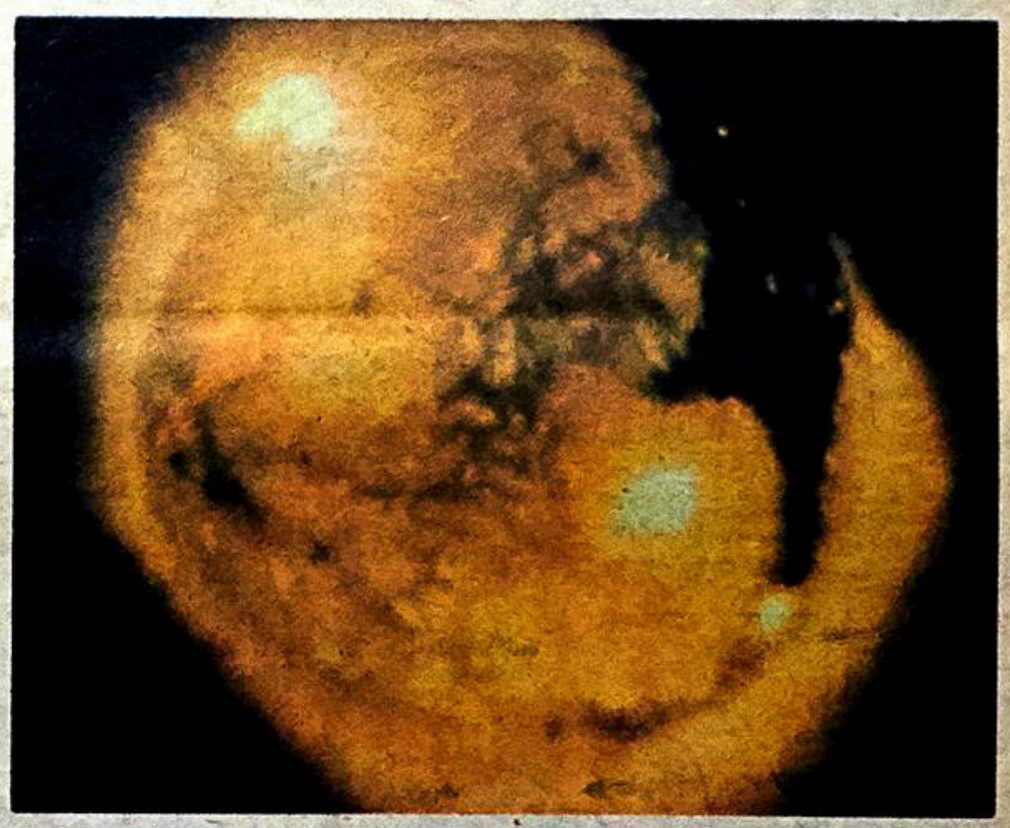

PIERWSZY WAHADŁOWIEC PRZED PRÓBĄ

W połowie września ub. r. w zakładach lotniczych Rockwell International zaprezentowano pierwszy egzemplarz wahadłowca, który został zbudowany kosztem 205 mln dolarów. Wahadłowiec ten jednak nigdy nie wejdzie na orbitę, ponieważ wiosną tego roku posłuży do doświadczeń, w toku których określi się właściwości lotne nowego pojazdu. Będzie on wznoszony na dużą wysokość pod kadłubem odrzutowca, a następnie odczepiany, po czym będzie lądował na własnych skrzydłach lotem bezsilnikowym. Później zostanie poddany badaniom niszczącym, których zadaniem będzie przede wszystkim stwierdzenie odporności nowej konstrukcji na drgania.

Całkowity koszt programu budowy wahadłowców wynosi 5,2 mld dolarów. Ocenia się, że jeden wahadłowiec, który będzie mógł wykonać 100 lotów, przyniesie setki milionów dolarów oszczędności w porównaniu z dotychczasowymi rakietami nośnymi jednorazowego użytku.

Piotr Dunin

Znaczki Tomika otrzymują:

Gratulujemy wyróżnionym. Znaczki prześlemy pocztą.

pozbyli się w taki nieludzki sposób Tumby? Co zamierzali? Dokąd ją wieźli? – myśli kłębiły się jej pod czaszką. Myśli, na które nie było odpowiedzi.

– Włos pani z głowy nie spadnie! – usłyszała jakby w odpowiedzi. – Ale musi być pani posłuszna. W przeciwnym razie... – Pedro podsunął jej pod nos wielką tłustą łapę zwiniętą w kułak. – „Natychmiast po wylądowaniu porozumiemy się z kapitanem Evansonem. Myślę, że nie pożałuje pieniędzy za uratowanie pani od tego czarnucha i za odzyskanie córeczki całej i zdrowej. A gdyby nie chciał zapłacić, to i tak na pani nie stracimy – zarechotał. – Ładną dziewczynę każdy kupi".

Zadygotała z oburzenia. Takiej podłości nie mogła się spodziewać. Czuła jak wzbiera w niej gniew, jak zalewa ją fala nienawiści; opuściła powieki, żeby złoczyńca nie dojrzał tego, co czuła. Jakże mogła przypuszczać, że to byli policjanci, że to ratunek! Olśniona w pierwszej chwili czystym jak spod igły ubraniem, zaprasowanymi starannie spodniami nie zwróciła uwagi na niskie, zarośnięte czoło Pedra, na grube wywinięte wargi i wyłupiaste oczy o dziwnie nieruchomym spojrzeniu. Prowokujący śmiech tego drugiego, ta jego nieznośna pewność siebie, pewność zwycięzcy, nie ostrzegły jej w porę. Jak mogła dać się tak podejść?! Ogarnęło ją dziwne uczucie przejmującego chłodu, jakby się nagle zanurzyła w lodowatej wodzie.

Maszyna zakołysała gwałtownie. Przechył rzucił ją na fotel Pedra, biodrem uderzyła boleśnie o kaburę. Zamiast opaść na poręcz fotela, dłoń jej zacisnęła się kurczowo na kolbie pistoletu. Błyskawicznym ruchem wyszarpnęła go i wcisnęła się głęboko w przeciwny bok fotela. Pedro nie od razu zrozumiał. Widok broni w dłoni dziewczyny obezwładnił go na moment. W rozszerzonych źrenicach nie było nawet lęku, nic, tylko bezbrzeżne zdumienie. Ale to trwało ułamek sekundy. W fałszywym uśmiechu wyszczerzył zęby, wyciągnął rękę. „Proszę oddać mi..." zaczął i urwał z podniesioną do góry dłonią. Sprawnym ruchem kciuka Karen odsunęła bezpiecznik. Skierowała otwór lufy w jego pierś, a wskazującym palcem naciskała powoli na spust.

– Nie! – z zaciśniętego strachem gardła ledwie wydobywał się zdławiony krzyk. – Nabity! Spust bardzo czuły! Czekaj! Ja... my... przecież chcemy jak najlepiej. Zrobimy wszystko, co zechcesz – mówił coraz szybciej widząc, że Karen zwolniła nacisk, ale nie spuszczała wciąż palca z cyngla. Patrzyła na niego chłodno, wzgardliwie, teraz ona była panią sytuacji.

Nie przestając wciąż mówić wolno, bardzo powoli przesuwał się w jej stronę.

– Nie ruszać się! – usłyszała swój własny zmieniony głos. Czarny otwór lufy nakazywał posłuch. Pedro sapnął ze złości, ale odsunął się od niej i wcisnął głębiej w siedzenie fotela. Czując, że coś się dzieje za jego plecami, drugi mężczyzna odwrócił się, osłupiał i puścił na moment orczyk. Hydroplanem rzuciło gwałtownie. Dłoń Karen podświadomie zacisnęła się na rękojeści pistoletu.

– Prostuj maszynę! – krzyczał przerażony Pedro. – Ta żmija zabije mnie niechcący.

Pilot lewą rękę położył na orczyku prostując lot hydroplanu, a prawą błyskawicznie sięgnął do kabury.

– Rzuć pistolet za siebie. Liczę do trzech! – krzyknęła.

Nie trzeba było powtarzać rozkazu. Z całych sił zamachnął się ciężką bronią celując w głowę Karen. Chybił o parę milimetrów. Czuła jak zimna stal otarła się o jej włosy, dławiący lęk podpełzł pod gardło. Pilot zaklął siarczyście. Potok przekleństw hiszpańskich i portugalskich buchnął z jego ust niepowstrzymaną falą.

– Dość! – krzyknęła grubym, nieswoim głosem. – Kieruj maszynę do Rio Grande do Sul. Tam wylądujesz. Nie rozumiesz?

W kabinie zapanowało milczenie. Karen wydawało się nawet, że przycichł przez moment huk silników.

– Do Rio Grande? – Pedro wierzchem dłoni przeciągnął parę razy po spoconym czole. – Ale i my przecież tam właśnie lecimy. Po cóż ta cała zabawa z bronią, te pogróżki?

– Zwrot przez prawe skrzydło! – krzyknęła i momentalnie podniosła pistolet w górę, widząc wyciągnięte do niej ręce Pedra. Broń ciążyła nieznośnie, bała się, że ręka jej zadygocze, oparła ją o poręcz fotela nie odwracając ani na chwilę czarnej muszki od piersi Pedra. Zagadał coś szybko do pilota. Podniecona nie zauważyła zwycięskiego błysku w jego oczach, nie wyczuła zmiany w głosie. „Jak długo jeszcze wytrzymam?" – pomyślała z obawą.

Pilot ostrożnie przechylił na bok maszynę, podłoga zakołysała się pod stopami. Podejrzewając jakiś zdradziecki manewr otworzyła usta do krzyku. Ale to był krzyk triumfu. W dole pod nimi w szybko ciemniejącym zmroku pobłyskiwały równymi rzędami światła pasa startowego. – Nareszcie!

Cdn

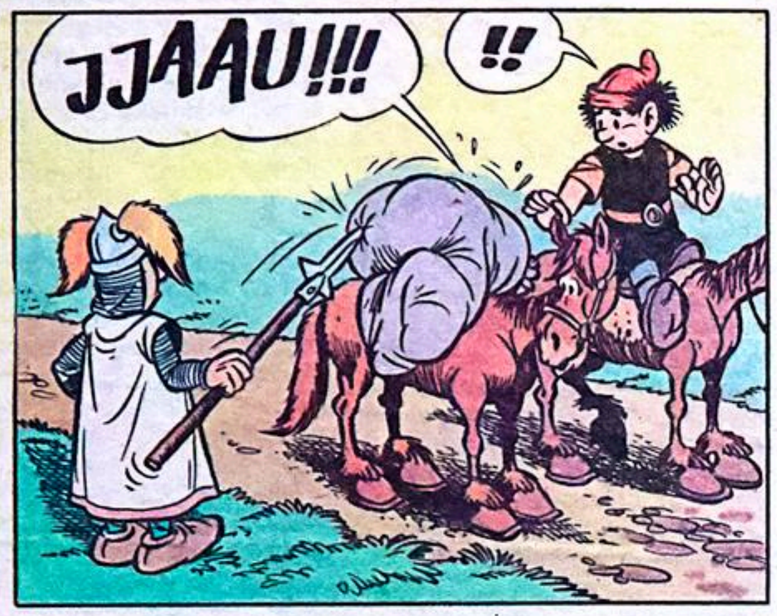

TEKST I RYSUNKI: CHRISTA

ŚWIAT MŁODYCH
Warszawska Gazeta Nastolatków

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Kazimierz Pasek, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Witold Stefańczak

Zam. 121/G F-79

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY. 00-561

31

– To na co czekamy?!

Latarnik podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– Nie mogę! Jeżeli oni, te diabły, są gdzieś tutaj w pobliżu to albo przechwycą radiodepeszę, albo przez swoich ludzi w Rio Grande dowiedzą się od razu, o co proszę. To przecież byłaby sensacja. Kapitanat musiałby natychmiast zawiadomić o wszystkim policję. Marny byłby wówczas los dziewczyny. A i z nami krucho. Strzelałby teraz celniej, nie chybiłby.

KAREN MYLIŁA SIĘ, TO NIE WYBAWCY...

Nie chybiłby z pewnością, gdyby nie Karen. W chwili gdy podnosił rękę z pistoletem, dziewczyna skoczyła na niego jak pantera, paznokcie obu dłoni wbiła w obnażone ramię i co sił szarpnęła. Dwa kolejne strzały zlały się w jedno z hukiem silników. Zaskoczony niespodziewanym atakiem mężczyzna zachwiał się, o mało nie wypadł z maszyny. Odzyskał równowagę i brutalnym gestem odrzucił od siebie Karen. Runęła jak długa na fotel i poderwała się błyskawicznie z palcami zgiętymi niczym szpony drapieżnego ptaka. Tego już było za wiele. Zatrzaskując drzwi jedną ręką, z rozmachem, z całej siły, uderzył ją w twarz. Czuła, że czaszka jej pęka od tego strasznego ciosu, przez chwilę leżała na wpół przytomna. Pochylił się nad nią, odwrócił, wykręcił jej ręce do tyłu i ścisnął żelaznym uchwytem. Nie mogła powstrzymać jęku.

– Związać? – usłyszała jak przez mgłę nienawistny głos.

– Daj spokój! Połamiesz jeszcze tę laleczkę i nici z forsy. Jak się

będzie jeszcze rzucać, daj jej po głowie, tylko uważaj Pedro, nie za mocno!

Usłuchał niechętnie. Gdyby spojrzał na twarz dziewczyny zamiast oglądać poorane paznokciami ramię, zadrżałby, tyle nienawiści płonęło w jej oczach. Z trudem łapiąc oddech, powoli wciągnęła się na fotel. Czuła słony smak krwi w ustach, palący ból szybko puchnącego policzka. I tę gorszą chyba od bólu zniewagę. Ktoś ośmielił się podnieść na nią rękę! Pierwszy raz w życiu. Ale nie to było teraz ważne. Co z Tumbą? Zabity, czy może tylko zraniony? Co pocznie sam w tej głuszy? Zginie. Zacisnęła mocno szczęki, bo czuła, że lada moment rozdzwonią się jej zęby, że wybuchnie płaczem. Do tego nie mogła dopuścić.

Długa chwila minęła nim się wreszcie przemogła. A co z tobą, Karen? – pomyślała. – Nie ma już Tumby, który cię obroni, który dla ciebie wszystko poświęci. Zostałaś sama, całkiem sama, zdana tylko na siebie. Nie daj się, dziewczyno, pokaż tym zbójom, co potrafisz. Nie wolno ci się poddać, oni tylko na to czekają. Walcz, walcz do ostatka, tak jak on walczył dla ciebie.

Zwarta ściana dżungli w oknie samolotu umykała błyskawicznie w łoskocie silników rozwijających pełną moc. Przeklętej dżungli, która kryła w sobie tyle strasznych zasadzek...

Maszyna leciała teraz nad jeziorem, tym wymarzonym jeziorem. Tu gdzieś niedaleko znajdowała się latarnia morska, w której oboje z Tumbą mieli znaleźć schronienie. Tumbo... Nie, nie mogła się pogodzić z myślą, że czarny chłopak zginął. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, jak był jej bliski, ile mu zawdzięczała. Chciała być przy nim, zaopiekować się, dopomóc mu tak, jak on jej dotąd dopomagał. Czy nigdy go już nie zobaczy? Zamknęła na moment oczy, zapragnęła rozpaczliwie niczego nie pamiętać.

Jazgot nienawistnych głosów przebijających się przez huk silników przywrócił jej przytomność. Obaj piloci przekrzykiwali się nawzajem wybuchając raz po raz hałaśliwym śmiechem. Widać było, że są z siebie zadowoleni.

Czemu ją porwali?! Przecież i tak dostaliby pieniądze. Dlaczego

Dokończenie na str. 7